

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. **Kraków, 7 września 1907.** **Nr. 36.**

Teatr miejski we Lwowie.



Gmach teatru hr. Skarbka we Lwowie.



Gmach teatru miejskiego w Krakowie.





Cyrk hr. Krasińskich w Warszawie.



Teatr letni w Krynicy.

Gmachy teatrów, w których teatr lwowski pod dyrekcyą p. Hellera dawał przedstawienia.

Teatr miejski we Lwowie.

Scena polska we Lwowie, dziś mieszcząca się we wspaniałym budynku miejskim przy placu Gołuchowskich i zajmująca wśród teatrów polskich stanowisko pierwszorzędne, przechodziła w ciągu całego stulecia swego istnienia — bo początki jej sięgają ostatnich lat XVIII. w. — bardzo rozmaite, przeważnie ciężkie koleje. Zawiązkiem jej, podobnie jak wszędzie prawie, były widowiska i dyalogi treści religijnej, wystawiane jeszcze za czasów Rzeczypospolitej. Kiedy z upadkiem Polski Lwów wraz z Galicyą przeszedł pod rządy austryackie, zjechał tam zaraz teatr niemiecki i przez kilka lat dawał przedstawienia w budynku obok kościoła OO. Jezuitów. Dopiero w 1780 r. pojawił się we Lwowie teatr polski. Była to trupa Tomasza i Agnieszki Truskolawskich. Przedstawienia odbywały się w ogrodzie Jabłonowskich. Powodzenie było bardzo słabe, to też po trzech latach pobytu Truskolawscy opuścili Lwów, skutkiem czego miasto to znowu przez dłuższy czas pozbawione było sceny polskiej. Przedstawienia polskie wznowił w 1787 r. Wojciech Bogusławski, którego nazwisko tak ściśle związane jest z polską literaturą dramatyczną i z dziejami polskiego teatru. Pierwszy pobyt Bogusławskiego we Lwowie trwał krótko. Dopiero pięcioletni pobyt jego od 1795 do 1800 dał podwaliny pod stałą scenę polską. W okresie tym w skład trupy Bogusławskiego wchodziły siły tej miary, jak Alojzy Żółkowski, Jan Nepomucyn Kamiński, Antoni Benza. Spuściznę po Bogusławskim objął Jan N. Kamiński i prowadził teatr lwowski aż do r. 1830, wśród warunków niesłychanie ciężkich i przykrych. Po r. 1830 Kamiński był tylko artystycznym kierownikiem sceny lwowskiej, a właścicielem jej było tow. akcyjne.

Epokowym w dziejach sceny polskiej we Lwowie był rok 1842, w którym dzięki hojnej fundacyi Stanisława hr. Skarbka otrzymała ona stały, na owe czasy wspaniały przybytek, gmach teatralny, zwany od imienia fundatora Skarbkowskim. W gmachu tym mieścił się teatr aż do r. 1900. Dyrekcyę prowadził naprzód sam hr. Skarbek, po jego zaś śmierci w 1848 r. objął ją Pfeiffer, następnie Tomasz Chełchowski, dalej J. Nowakowski i W. Smochowski a potem Adam Miłaszewski. Ciągłe i stałe niepowodzenia kasowe, brak zainteresowania się teatrem wśród mieszkańców Lwowa, nie pozwalały scenie tej rozwinąć się odpowiednio. A przecież teatr lwowski miał w owym okresie siły takie, jak Aszpergowa, Nowakowska, Chełchowska, jak Dawison, Rychter, Królikowski, Ładnowski, Fiszer i wielu, wielu innych. Jeszcze gorzej było pod względem finansowym w okresie 1872 do 1875, kiedy teatr lwowski był pod rządami „komitetu założycieli“, a następnie spółki artystów. W r. 1875 objęli dyrekcyę i prowadzili ją przez sześć lat Stanisław Dobrzański i Jan Tański. Po nich wrócił ponownie Adam Miłaszewski, poczem objął dyrekcyę Jan Dobrzański. Od r. 1886 do 1890 prowadziła teatr Celina Dobrzańska, naprzód do spółki ze Stanisławem Niewiadomskim, a później z Władysławem Barączem. Następnie przeszła dyrekcya w ręce Mieczysława Schmitta, który w 1894 r. oddał ją znanemu komedyopisarzowi Zygmuntowi Przybylskiemu i dr. Szydłowskiemu. Pod ich rządami teatr pozostawał tylko dwa lata, to jest do 1896 roku.

W czasie tym znajdowała się scena polska we Lwowie w najzupełniejszym upadku, czego główną przyczyną były nieustanne niedobory kasowe. Zmiana na lepsze nastąpiła dopiero w 1896 r., gdy dyrekcyę objęli Ludwik Heller i dr. Juliusz Bandrowski. Ostatnie lata pobytu teatru lwowskiego w gmachu Skarbkowskim wiążą się ściśle z nazwiskiem Ludwika Hellera a zwięzła sylwetka tego dzielnego człowieka, poniżej umieszczona, daje również obraz i historyę rozwoju tego teatru w owym okresie.

Ludwik Heller.

Trudną jest rzeczą pisać życiorys człowieka, który znajduje się w okresie najżywszej działalności, który dopiero rozpoczął pracę na większą skalę i na odpowiednim terenie, o którego zatem czynach sąd w żadnym razie nie może być jeszcze zamknięty. Wobec tego jednak, że dzisiejszy numer „Now. Illustrowanych“ ma być poświęcony jednej z pierwszych scen polskich, t. j. teatrowi miejskiemu we Lwowie, przeto obok ogólnego rysu historycznego, obejmującego przeszłość tej instytucyi, musi się wyrzec słów kilka o tych, których imiona wiążą się ściśle z teraźniejszością i przyszłością lwowskiej sceny polskiej, którzy obecnie stoją na jej czele. Stąd potrzeba, stąd konieczność poświęcenia kilku słów dyrektorowi Ludwikowi Hellerowi, jego dotychczasowemu życiu i działalności.

Bogatym w najrozmaitsze przejścia był żywot tego ruchliwego i przedsiębiorczego człowieka, co śmiało, z podniesionem czołem szedł naprzód do raz wytkniętego celu, nie zrażając się żadnemi trudnościami, żadnemi przeszkodami, a z silną i głęboką wiarą w siebie samego, z wiarą, że cierpliwością, zapobiegliwą pracą i konsekwencyą musi przełamać i najcięższe zapory.



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.

Ludwik Heller.

Urodzony 1866 w Mszanie pod Lwowem, ukończył Ludwik Heller gimnazyum w Rzeszowie, studya prawnicze zaś odbył na uniwersytecie lwowskim. Następnie ruszył w świat, zwiedził Paryż, Londyn, Berlin, Warszawę, a wróciwszy do kraju odbył jednoroczną służbę wojskową, poczem wstąpił do służby kolejowej. Za ciasno i za duszno mu jednak było w czterech ścianach biurowych. Więc porzuciwszy Kraków, w którym podówczas mieszkał, jedzie na Zachód i z drogi pisze do polskich dzienników sprawozdania z głównych teatrów w stołecznych miastach Europy. Ale i tego rodzaju zajęcie nie mogło wystarczyć jego temperamentowi, nie mogło zaspokoić jego żądzy czynu. Wspólnie tedy z dr. Juliuszem Bandrowskim składa polską trupę operową i w 1895 r. gra z nią w Krakowie przez cały sezon letni. Aby mieć pojęcie, jak doskonałe siły zdołał Heller skupić wówczas w około siebie, wystarczy poznać nazwiska najwybitniejszych tylko; a więc Arklowa, Klamrzyńska, Korolewiczówna, Kruszelnicka, Bandrowski, Floryański, Myszuga, Lewicki, Schlaffenberg, Warmuth, Bernard, Didur, Jeromin itd.

W następnym roku, znowu wspólnie z dr. Bandrowskim, obejmuje teatr hr. Skarbka we Lwowie. Zastaje go w najzupełniejszym upadku i rozkładzie. Niema opery ani operetki, której na rok przed wygaśnięciem kontraktu wypowiedzieli komorne Szydłowski i Przybylski. Personal dramatu zdezelowany, rozbity, nie dostrajał się do wymogów nawet lepszej scenki prowincyonalnej. Więc zdawało się wszystkim, że ci dwaj ludzie, energiczni i młodzi, ale podówczas nie fachowi — jakimi byli Bandrowski i Heller — podjęli zadanie zbyt ciężkie, zadanie, które przygniecie ich własnym swym ciężarem.

A jednak stało się inaczej.

Z rozpoczęciem sezonu sprowadzają nowi kierownicy sceny lwowskiej wegetującą na prowincyi trupę operetkową Myszkowskiego i zyskują dla niej najlepsze istniejące podówczas siły. Wznawiają przedstawienia operowe, z takiemi siłami, jak Aleksander Bandrowski, Myszuga, Arklowa, Heller-Olszewska, Camillowa itd. Szczególną jednak pieczołowitością otaczają dramat, którego zespół skompletowali, a raczej prawie na nowo zorganizowali. Po dwu latach Heller zostaje sam na stanowisku dyrektora teatru i prowadzi dalej, już o własnych tylko siłach, scenę Skarbkowską na pierwsze pośród polskich teatrów miejsce.

Tymczasem gmina miasta Lwowa wystawiła olbrzymim sumptem nowy, wspaniały, godny stołecznego grodu gmach teatralny i w r. 1900 oddała go w dzierżawę p. Tadeuszowi Pawlikowskiemu, byłemu dyrektorowi teatru miejskiego w Krakowie. Heller zaś opuszcza Lwów i przez dwa całe lata bawi za granicą, poświęcając czas wyłącznie studyom scen stołecznych.

Po powrocie do Lwowa zakłada w 1902 roku w październiku Filharmonię, w przerobionym na salę koncertową teatrze Skarbkowskim. Tworzy wspaniałą, z 70 członków złożoną orkiestrę koncertową i powierza jej kierownictwo zasłużonemu kapelmistrzowi Henrykowi Jareckiemu, oraz młodemu, pełnemu energii i zapału Ludwikowi Czelańskiemu. — W ciągu siedmiomiesięcznego sezonu przesuwa przed publicznością lwowską wszystkie niemal pierwszorzędne gwiazdy światowe w dziedzinie muzyki i śpiewu. Dla miłośników i znawców muzyki symfonicznej urządza każdego tygodnia koncerty symfoniczne. — Wysoka kultura i prawdziwa, czysta Sztuka, w której usługach pozostawała lwowska Filharmonia za dyrekcyi Hellera, zapewniły mu szczere i wdzięczne uznanie w bardzo szerokich kołach lwowskiego świata artystycznego. Materyalne niepowodzenie zmusiło Hellera do porzucenia Filharmonii. Mając jednak znakomitą orkiestrę na swe usługi, organizuje zespół operowy i wyjeżdża z nim na sezon letni do Krakowa i do Łodzi. Pod jesień zwija operę i rusza z orkiestrą naprzód do Królestwa Pol., a potem w głąb Rosyi. Koncertuje z powodzeniem w Warszawie, Wilnie, Mińsku, Grodnie, Libawie, Rydze, Smoleńsku, Petersburgu, Kijowie, Moskwie, Odessie. Znużony kilkumiesięczną tułaczką, a nadto zgnębiony chorobą żony, oddaje orkiestrę Czelańskiemu, a sam wyjeżdża za granicę. Tam nie próżnuje bynajmniej, lecz oddaje się dalej studyom nad teatrem, przyczem zasila niektóre pisma polskie trafnemi i bardzo cennemi sprawozdaniami z światowego ruchu scenicznego.

Temperament i siła woli pcha go do nowych przedsięwzięć. Oto w 1904 r. organizuje w Warszawie operetkę na letni sezon, a w następnym roku z początkiem jesieni rozpoczyna sezon operowy w Medyolanie w teatrze „Lirico“, gdzie zapoznaje Włochów z polską muzyką i zyskuje dla niej najwyższe uznanie całej tamtejszej prasy. Krytyka nie szczędziła też słów pochwały kierownikowi polskiej opery p. Hellerowi.

Tymczasem we Lwowie dobiegał do końca kontrakt dzierżawy teatru miejskiego, zawarty z p. Pa-

wlikowskim. Heller na wieść o ogłoszeniu konkursu stanął we Lwowie i przedstawił ofertę. Wnet potem uchwałą Rady miejskiej z 17 marca 1906 otrzymał teatr lwowski w dzierżawę na okres sześcioletni tj. od 1906 do 1912 r.

Odziedziczony po swoim poprzedniku personal dramatu uzupełnia nowemi siłami, jak: Ordon-Sosnowska, Siemaszkowa, Irena Trapszo, Fiszer, Sosnowski, Szobert, Walewski. Dalej ustala polską operę pełnosezonową, do operetki powołuje Schuppównę i Boguckiego. Publiczność uznaje i ocenia tę gorliwość nowej dyrekcyi i zaraz w początkach tłumnie odwiedza teatr, dając tem dowód swej sympatyi. Prasa lwowska prawie niepodzielnie przyznała też, że teatr lwowski w sezonie 1906—1907 stanął bardzo wysoko. Repertuar dramatu odświeżony i ożywiony wprost nadzwyczajnie, zaznajomił publiczność lwowską z mnóstwem rzeczy nowych, interesujących, wystawionych bardzo starannie, mimo iż każdy tydzień przynosił ze sobą nową premierę. Zwłaszcza zaś w zakresie opery usiłowania dyrekcyi wystąpiły nadzwyczaj korzystnie. Zespół polski miał siły doskonałe, utalentowane, z ogromną przyszłością. Repertuar przyniósł również szereg nowości, między temi wspaniale wprost wystawionego „Zygfryda“ Wagnera i „Starą Baśń“ Zeleńskiego. Wogóle plusów w tym krótkim okresie można wyliczyć sporo, a wszystkie one zasługą energii, inicyatywy i pracowitości dyrektora Hellera.

Nagrodą dlań obok uznania prasy, obok powodzenia materyalnego było przedewszystkiem sprawozdanie komisyi artystycznej sejmowej za rok pierwszy jego działalności. Sprawozdanie to, opracowane przez człowieka zupełnie bezstronnego, a niepospolitego i wytwornego znawcę sztuki, J. E. Leona hr. Pinińskiego, przepełnione było wyrazami poważnego uznania dla teatru lwowskiego, a tem samem dla jego kierownika. W czasie tzw. dyskusyi teatralnej w Sejmie, nie podniósł ani jeden z posłów jakichkolwiek zarzutów przeciw dyrekcyi Hellera, a sprawozdanie zostało jednogłośnie przyjęte.

Teraz przygotowuje się p. Heller do nowej kampanii. Ogłoszony w pismach codziennych program na rok 1907/8 zapowiada cały szereg nowości, zarówno w dramacie jak operze. Sezon operowy rozpocznie dyr. Heller 15 września i prowadzić będzie do 15 maja. Dobór sił doskonały, repertuar wyborowy, obiecują wiele prawdziwie miłych wieczorów. To też niewątpliwie i w tym sezonie teatr cieszyć się będzie powodzeniem zasłużonem, a jego kierownik uznaniem i jeszcze większą, jeszcze powszechniejszą sympatyą. Oby tylko nie ustawał w pracy i zapobiegliwości około przyszłości sceny polskiej, która pod jego kierownictwem wznieść się może i powinna na wyżyny prawdziwego artyzmu.

Irena Bohuss-Hellerowa.

Z wiosną 1896 r. wystąpiła na scenie teatru hr. Skarbka we Lwowie w partyi Siebla we „Fauście“ młodziutka, bo zaledwie siedmnastoletnia podówczas debiutantka, uczenica prof. Walerego Wysockiego, panna Irena Bohussówna.

Osóbka drobna, szczuplutka, ale o bardzo wdzięcznej i ujmującej aparycyi, o jasnopłowym, złocistym włosie, spoglądająca łagodnym, prawie wystraszonym wzrokiem w rozwartą paszczę scenicznej widowni, podbiła publiczność już na wstępie samym czarem swej postaci. A gdy następnie drżącym z początku głosem uderzyła w tony znanej aryi „Kwiatki wyjawcie jej....“ — rozśpiewując się w miarę postępu taktów—ujęła całe audytoryum nieskazitelną czystością dźwięcznego i silnego głosu, oraz prawdziwie artystycznem odczuciem odtwarzanej partyi. Pierwszy ten ze wszech miar udały występ, zadecydował o karyerze młodziutkiej śpiewaczki. Poświęciła się scenie i po dziś dzień chlubnie na niej pracuje.

Początkowo śpiewała w operetce i była jej prawdziwą ozdobą. Od razu też stała się ulubienicą publiczności lwowskiej. Nadzwyczaj miły głos, pełen metalicznego dźwięku, ogromna muzykalność, a przytem wiele szyku i elegancyi oraz temperamentu i werwy w grze scenicznej, wszystko to musiało młodej śpiewaczce zapewnić powodzenie i zwrócić na nią uwagę sfer artystycznych.

Idąc za radami wytrawnych znawców przeniosła się Bohussówna w 1899 r. z operetki do opery i zaraz na wstępie zdobyła ogromne powodzenie jako Violetta w „Traviacie“, jako Małgorzata w „Fauście“, jako „Mignon“ itd.

W roku następnym wyjeżdża do Włoch, celem uzupełnienia studyów. Dopełniwszy ich, głównie w szkole znakomitej śpiewaczki p. Arklowej w Medyolanie, powraca do kraju i otrzymawszy angagement do Warszawy, śpiewa w tamtejszej operze w sezonach lat 1901, 1902 i 1903. I tu towarzyszy jej stałe i nadzwyczajne powodzenie. Z ogromnym talentem stworzone partye w „Chopinie“ i „Maryi“, dalej wiele ról w operach dawniejszych, zdobyły jej miano pierwszorzędnej artystki.

W sezonie 1904 wyjeżdża znowu za granicę i śpiewa w Medyolanie na scenie teatru „Lirico“ pod dyrekcyą głośnego Sonzogna, a następnie występuje w wielkim teatrze w Livorno; stamtąd przyjeżdża do Lwowa i występuje gościnnie w teatrze miejskim, witana serdecznie i ciepło przez zawsze ją kochającą publiczność i obsypywana pochwałami przez prasę. W roku 1905 śpiewa znowu w Medyolanie, a nadto wyjeżdża na gościnne występy do Londynu, gdzie zachwyca synów Albionu swym głosem miłym i czarem całej postaci.

Sezon ubiegły spędziła na scenie lwowskiej, dzięki temu, że losy i uczucia sprzęgły ją dozgonnie z dyrektorem lwowskiego teatru p. Ludwikiem Hellerem. Jednogłośne pochwały, jakiemi stale darzono panią Bohuss za każdą jej kreacyę, oklaski i brawa, któremi publiczność daje wyraz swemu uznaniu, są dla utalentowanej tej artystki z pewnością miłą nagrodą za jej trudy i pracę i zachętą do dalszych wysiłków *„ad astra“*.

W nadchodzącym sezonie operowym Lwów będzie miał szczęście znowu niejednokrotnie słyszeć znakomitą śpiewaczkę, będzie miał sposobność podziwiać jej głos, zawsze pełen dźwięku i siły, jej dynstynkcyę i miarę prawdziwie artystyczną, które cechują każdą jej kreacyę.



Irena Bohuss-Hellerowa.

Mieczysław Sachorowski.

Od ćwierć wieku, bo od r. 1882 z krótką tylko przerwą, zajmuje w teatrze we Lwowie trudne i odpowiedzialne stanowisko sekretarza p. Mieczysław Sachorowski. Życie jego, całe i w zupełności oddane sprawom teatru, wiąże się ściśle bardzo z dziejami sceny lwowskiej. Przybywszy tam w 1875 r. po kilkoletniej pracy na deskach teatru w Poznaniu, występował za dyrekcyi Stanisława Dobrzańskiego z powodzeniem w dramacie, operetce a nawet operze. Obdarzony wybitnemi zdolnościami, wykształcony, ogromnie łatwo się oryentujący młody ten podówczas artysta, zwrócił na siebie uwagę Jana Dobrzańskiego, który obejmując 1882 r. teatr lwowski po Miłaszewskim, zamianował p. Sachorowskiego sekretarzem.

Stanowisko sekretarza teatralnego jest niesłychanie ciężkiem a przytem bardzo niewdzięcznem. Jest on bowiem bodaj czy nie najważniejszem kółkiem w olbrzymim i ogromnie skomplikowanym mechanizmie, jakim jest teatr. Przez kancelaryę jego przesuwają się każdego dnia dziesiątki osób, mających jakikolwiek interes do teatru, do niego odnoszą się artyści, autorowie, dziennikarze, jednem słowem wszyscy. Łatwo też zrozumieć, ile przytomności umysłu, ile energii i znajomości stosunków teatralnych potrzeba posiadać, aby ciężkiemu temu zadaniu sprostać. Wszystkie potrzebne do tego warunki posiada p. Sachorowski w stopniu bardzo wysokim, to też już w pierwszych latach swej działalności potrafił zjednać sobie i sympatyę kolegów i uznanie dyrekcyi.

Po śmierci Jana Dobrzańskiego opuścił p. Sachorowski teatr lwowski i przeniósł się do Krakowa, dokąd go zaangażował ówczesny dyrektor tamtejszego teatru p. Glikson. W Krakowie pracował p. Sachorowski aż do zamknięcia starego teatru przy placu Szczepańskim.

Tymczasem we Lwowie przeszła dyrekcya teatru Skarbkowskiego w ręce p. Mieczysława Schmitta. Nowy dyrektor znał p. Sachorowskiego jeszcze z czasów Jana Dobrzańskiego, a oceniając jego niepospolite zdolności i czując, jak pomocną będzie dlań ta siła, sprowadził go z Krakowa, powierzając doświadczonym jego rękom sekretaryat. I odtąd nie opuścił p. Sachorowski ani teatru lwowskiego, ani stanowiska sekretarza. Zmieniali się i może zmieniać się jeszcze będą dyrektorowie, ale sekretarzem teatru jak był tak i będzie długie jeszcze lata p. Sachorowski. Bo mimo wyczerpującej pracy, mimo denerwujących stosunków teatralnych, cieszy się on zdrowiem wybornem, a energia go nigdy nie opuszcza. Zna na wylot cały mechanizm administracyjny, zakulisowy teatralnego przedsiębiorstwa, a przy swej bajecznej ruchliwości i zapobiegliwości, jest siłą wprost nieocenioną i nie do zastąpienia.

Pan Sachorowski uwiecznił też swe imię w literaturze naszej, jako tłómacz bardzo wielu utworów dramatycznych. Przekłady jego cechuje doskonały język i dowcip wytworny, co przyczynia się niemało do powodzenia odnośnych sztuk. A jak doskonałym znawcą sceny i publiczności teatralnej jest p. Sachorowski, dowodzi i to, iż sztuki przezeń tłómaczone utrzymują się zawsze długo w repertuarzu.

Wszystkie te niezwykłe zalety i przymioty zapewniły p. Sachorowskiemu ogromną popularność i sympatyę w sferach, mających styczność z teatrem lwowskim. Lubiany przez wszystkich swych kolegów, za swą uczynność i koleżeństwo, ceniony przez dyrektorów, którzy najlepiej mogą ocenić i oceniają jego olbrzymie dla teatru zasługi, jest p. Sachorowski bardzo często pośrednikiem i łącznikiem między temi dwoma stronami. A i wśród publiczności lwowskiej, choć ta niema możności patrzeć bezpośrednio na cichą, ukrytą pracę jego, ma mir ogromny, który wyrobił sobie taktem wielkim i uprzejmością.

Reżyserowie teatru miejskiego we Lwowie.



Władysław Floryański.



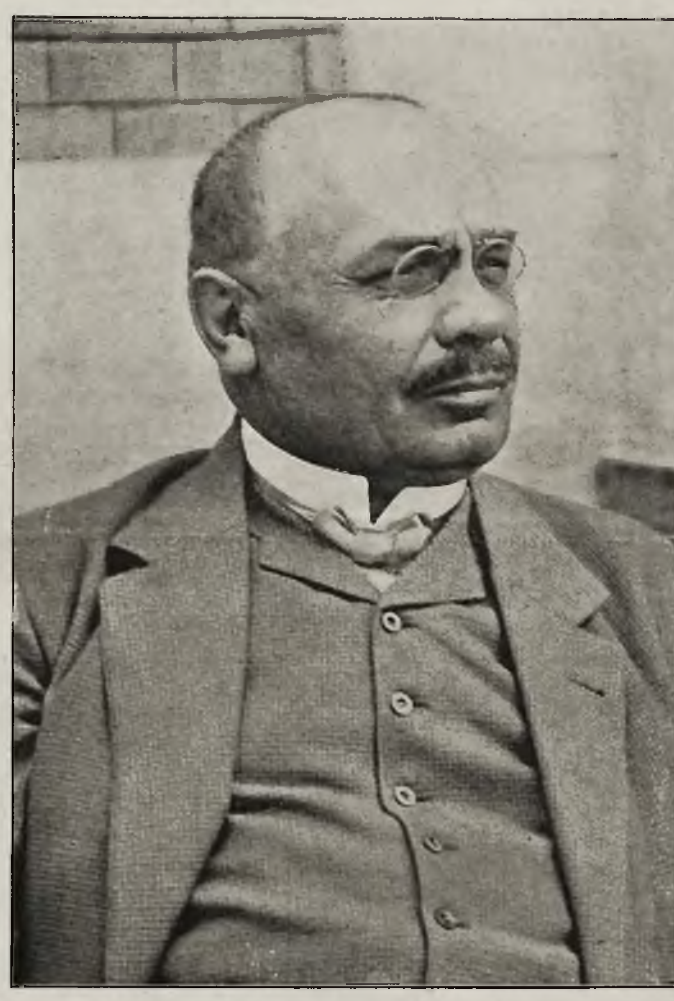
Adolf Walewski, doradca artystyczno-literacki.



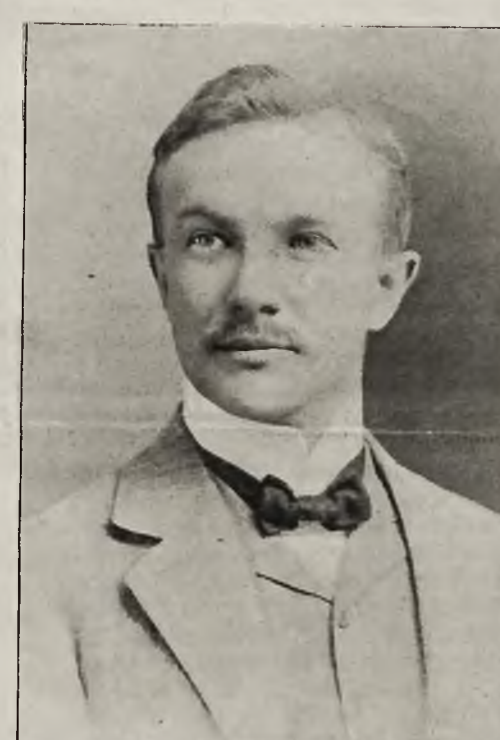
Karol Pasławski.



Ludwik Wostrowski.



Mieczysław Sachorowski, Sekretarz i zastępca dyrektora.



Jan Nowacki.



Andrzej Lelewicz.



Michał Szobert.



Władysław Antoniewski.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

36 Ciąg dalszy.

Na ożywionej dyskusyi politycznej skończyło się posiedzenie, a gdy Gołubiew i von Plessen znaleźli się na ulicy, rzekł sekretarz:

— Słuchajcie, Iwanie Iwanowiczu, a gdyby tak konsulowi niemieckiemu szepnąć o memoryale naszym...

— Hm... byłoby to nieźle, dałby znać do ambasady w Petersburgu i konstytucyę dyabliby wzięli — uśmiechnął się von Plessen — ale ja się tego nie podejmę... może się wykryć.

— A ja dla dobra Rosyi to zrobię — powiedział Gołubiew.

. . . .

Na drugi dzień Kola, szukając Porwy, zaszedł do Logiki, wprawdzie nie zastał ani Logiki, ani Porwy, natomiast Wanda przyjęła go z uśmiechem przyjaznym mówiąc:

— Dobrze, że przyszliście, nie będzie mi się czas dłużył.

— A ja rad jestem, że was widzę bez żadnych ubocznych korzyści — uścisnął podaną rękę.

— Już z tego, że radzi jesteście — zaśmiała się — macie korzyść... Czy przynosicie co nowego?

— Mały kwiatek z biurokratycznej reakcyi... a gdzie byliście dzisiaj?

— Cały dzień w pracy, bo wiecie idzie o wybór komitetowych w myśl Porwy i brata.

— I jaki rezultat?

— Robotnicy prawie wszyscy, jak mi mówiła Logika, są za utrzymaniem narodowego charakteru; to samo i moi kolejarze, a o związkach zawodowych nie wiem... A wiecie, gdziekolwiek byłam spotykałam agitatorów pochodu narodowego.

— Czy mają powodzenie?

— Wielkie nawet, bo przemawiają do uczuć narodowych.

— A wy, towarzyszko, nie tłómaczyliście, że pochód ten to woda na młyn endeków, naszych przeciwników?

Spojrzała na niego zdziwionemi oczyma:

— Ale w imię jakich haseł miałam odwodzić towarzyszów od pochodu narodowego? Ja jestem Polką, oni są Polacy, i gdy po czterdziestu dwu latach wolno nam zaznaczyć, że dążymy do wolnej, niepodległej Polski, ja mam się sprzeciwiać dlatego, że endecy biorą udział w tej manifestacyi?

— Zważcie towarzyszko, że my, socyaliści, chcemy innej Polski, opartej na zasadach sprawiedliwości i równości, a endecy stoją na gruncie różnic klasowych i wyznaniowych.

— Wzrusza mnie wasza mądrość — zaśmiała się wesoło — ale uprzedzam was, że o różnicy pomiędzy nami a endekami już wiedziałam. W manifestacyi narodowej nie chodzi ani o endeków, ani pepeesowców, ani esdeków, ugodowców, klerykałów lub innych, ale o Polskę. Musimy zaznaczyć, że żyjemy, że chcemy być wolni i niepodlegli. Wszyscy musimy stanąć w szeregu.

— I wy pójdziecie? — zdziwił się.

— Naturalnie, zrozumcież, że tu idzie o całą Polskę, a nie o stronnictwa. Gdy będziemy wolni, wówczas przyjdzie czas na walkę stronnictw.

— Jestem pewny, że ani Logika, ani Porwa, ani Bal nie pójdą.

— Może... nie wiem... ale gdyby nawet oni nie poszli, ja będę.

— Przez upór — uśmiechnął się.

— Nie przez upór, uczynię to z obowiązku.

Wanda była tak piękną w tem podnieceniu, z błyszczącemi oczyma, że rozkochany Kola nie umiał czy nie chciał jej się sprzeciwiać i rzekł:

— Macie słuszność towarzyszko... na waszem miejscu poszedłbym.

— Czy naprawdę was przekonałam? — spytała z uśmiechem radości.

— Wiecie, sam nie wiem.

— Jakto?

— Patrząc na was, słuchając was, nie umiem krytykować.

— A nie widząc mnie, wracacie znów do waszych przekonań — uśmiechnęła się.

— W tem bieda, że tak nie jest—westchnął—już w sprawie należenia do stronnictwa mam dowód, że wpływ wasz jest trwały.

Na wrażliwej twarzy Wandy widać było zaniepokojenie, poczuła dziwną obawę przed tą rozmową, domyśliła się, że on mówi o swem uczuciu dla niej, a nie chciała wyraźnych słów, bo tak jej dobrze było z dotychczasową przyjaźnią Koli. Chciała zmienić przedmiot rozmowy, ale nasuwające się tematy wydały się jej tak banalne, tak niezręczne, że zniecierpliwiona przygryzła usta, a w mózgu miała tylko jedno, jedyne pytanie, o czem mówić? Nagle zabłysły jej oczy, rozpogodziła czoło i lekko zarumieniona mówiła może zbyt pospiesznie, jak gdyby w obawie, że pomysł uleci.

— Mylicie się w rozumowaniu, was wzięła idea wolności, idea naprawienia krzywdy. Przecież i Logika tak samo od esdeków przeszła do nas. Zresztą to do rzeczy nie należy, powiedzcie mi o tym kwiatku reakcyjnym, z którym przyszliście do nas.

Kola spochmurniał, a w czarnych jego oczach odbił się smutek i rzekł po chwilowem milczeniu:

— Wiecie, towarzyszko, co do mnie, nie lubię niedomówionych słów, nieokreślonych uczuć, niezdecydowanych barw. Człowiek powinien być zawsze szczerym i przejrzystym jak kryształ... Otóż mój stosunek do was nie jest jasny, ma coś w sobie z nieokreśloności i niepochwytności mgły, a jesteśmy zbyt dobrymi towarzyszami, abyśmy względem siebie nie byli szczerzy. Czy pozwolicie mi być szczerym?

Wanda, słuchając go, poczuła żal do niego, w jakim celu, po co i na co, mówi on to wszystko? I nie bez goryczy powiedziała:

— Zdawało mi się, że nasz wzajemny stosunek jest szczery i wy sami stwarzacie sobie urojone wątpliwości. Nie posądzacie mnie przecież o jakieś udawania, komedye?

— Ani na chwilę — ożywił się Kola — pragnę tylko dla siebie, abym wypłynął na jasne wody. Nie wystarcza mi przyjaźń, bo kocham was i ani na chwilę nie opuszcza mnie wasz obraz, wszędzie i zawsze jesteście ze mną i we mnie. Straciłem siebie, bo rozpłynąłem się w miłości i żyję jedynie pragnieniem pozyskania waszej wzajemności. A to mnie tak dręczy, tak męczy, tak dokucza, że wolę pewność, chociażby najgorszą, aniżeli to życie chwiejne i mgliste. O jedno was proszę, bądźcie szczerzy ze mną i powiedzcie mi, czy mogę liczyć na waszą wzajemność?

Z chwilą, gdy Kola wyznał swą miłość, Wanda uspokoiła się nagle, zrozumiała, że już słów tych nie cofnie żadnym sposobem, a Kola miał wyraz takiej szczerości, tak odczuwała jego niepewność i obawę, patrzał tak błagalnie, że poczuła najpierw wielkie współczucie i pragnienie, aby on był szczęśliwy, spokojny, uśmiechnięty. Spojrzała mu w oczy z taką słodyczą i dobrocią, że Kola, nie czekając jej słów, pochwycił ją, ucałował i szeptał gorąco:

— Kocham cię... kocham...

Wanda zarumieniona odsunęła go i patrząc na jego twarz rozpromienioną i szczęśliwą mówiła z dobrym uśmiechem:

— Jeśli mnie kochacie, to jeszcze żadna racya, aby mnie gnieść i całować. Możemy się kochać, ale bez tych czułości, bez pocałunków.

— Jakiż ja szczęśliwy — zawołał i pochwyciwszy jej rękę całował gorąco.

— Proszę was, bądźcie rozsądni — wyrwała mu rękę — albo wyjdę z pokoju.

— Już jestem — odsunął się od niej cokolwiek.

— Dobrze... teraz usiądźcie i pomówimy szczerze.

— Tego tylko pragnę — zaśmiał się Kola.

Wanda usiadła na krześle opodal Koli i zaczęła z powagą:

— Przypuściwszy, że kochamy się...

— Nie zgadzam się — przerwał jej Kola — to nie jest żadne przypuszczenie, to fakt spełniony.

— Dobrze, zatem kochamy się i cóż dalej?

— Będziemy się kochali aż do śmierci i po śmierci — odpowiedział z uśmiechem.

— Ależ bez żartu — ściągnęła brwi Wanda — co myślicie o przyszłości?

— Naturalnie pobierzemy się i będziemy szczęśliwi.

— Dla was to naturalne, a dla mnie nie. Z chwilą pobrania i wy i ja bierzemy na siebie obowiązki, stwarzamy, jak to mówią, ognisko rodzinne, czyli innemi słowy zostaję gospodynią, kucharką, mamką, niańką, wychowawczynią itd. itd. A ja tego nie chcę, ja muszę być wolną, swobodną.

— Któż mówi o niewoleniu, o krępowaniu waszej swobody?

— Życie, towarzyszu, życie! Gdy się połączymy, mogą być dzieci i względem nich zaciągamy obowiązki... i dlatego nie pójdę zamąż... i chociaż was bardzo lubię, a może i kocham, żoną waszą i niczyją nie będę.

— Wy to mówicie seryo? — spytał zmienionym głosem.

— Najzupełniej.

— Więc cóż będzie dalej?

— Mogłabym odpowiedzieć waszemi słowami, że będziemy się kochali, ale z osobna. Nie powiem tego, tylko zważcie towarzyszu dobrze, otóż zaledwie zaczęliśmy pracować społecznie, zaledwie wstąpiliśmy do partyi, wokoło wrze walka, pracy mnóstwo i każdej chwili musimy być gotowi na śmierć, na więzienie... a wy chcecie zaciągać nowe zobowiązania, nowe ciężary, nowe kajdany.

— Ja was rozumiem — zaczął Kola — i mielibyście zupełną racyę, gdybyście wychodzili za człowieka innych przekonań aniżeli waszych... ale my zgadzamy się najzupełniej, a walcząc wspólnie o wspólną sprawę będziemy silniejsi, pewniejsi, oporniejsi, gdyż będziemy sobie wzajemnie pomagali.

— Nie, towarzyszu, to złudzenie. Dwóch kochanek nie kocha się jednakowo, można tylko jedną kochać prawdziwie i szczerze, druga staje się ciężarem. Nad osobiste szczęście przenoszę społeczne, ogólne.

— Zatem mnie nie kochacie — rzekł ze smutkiem Kola.

— Nie wiem... zdaje mi się, że was kocham, ale póki trwa ten chaos, póki nie wywalczymy wolności, nie mogę porzucać sztandaru, aby się zamknąć w ciasnej klatce osobistego szczęścia.

— Wiecie Wando, zgodzę się z wami, ale pod warunkiem.

— Jakim?

— Z chwilą, gdy zwyciężymy, połączymy się na zawsze. Dobrze?

— Ale, gdy Polska będzie wolną — dodała Wanda.

— Zgoda i na to — uśmiechnął się Kola — a aż do tej upragnionej chwili pozwólcie mi, że będę dla was bratem i najlepszym przyjacielem.

— Ale bez żadnych czułości, uścisków itd., bo tego nie lubię.

— Dobrze Wandziu — i ucałował jej rękę.

— Znów zaczynacie?

— To na zgodę — zaśmiał się — zresztą za miesiąc, za dwa musisz mi pozwolić na ucałowanie ręki, bo będziesz moją żoną.

— Czy sądzicie, że naprawdę tak prędko zwyciężymy rząd? — spojrzała zdziwiona.

— Przypuszczam, że tak, przecież pod naciskiem jednego strejku zachwiał się i musiał dać konstytucyę, a my nie ustaniemy w tej walce, aż póki nie będzie Polski.

Zabrzmiał dzwonek i za chwilę weszła Logika z Porwą.

— Szukałem ciebie — zawołał Kola — mam ciekawe wiadomości.

Logika, która szła do dalszego pokoju, aby się przebrać, przystanęła na chwilę mówiąc:

— Zaczekajcie na mnie, zaraz przyjdę.

— Otóż na wczorajszem posiedzeniu — mówił Kola po nadejściu Logiki — postanowiono wysłać wspólny memoryał do Petersburga, aby Królestwo wyłączyć z nadanej konstytucyi i stan wojenny ma trwać dalej.

— Nie wiesz, kto podał projekt — spytał Porwa.

— O ile wiem, to gubernator kaliski.

— Ten zajdzie w biurokracyi wysoko — zaśmiał się Porwa — on przeczuł grę Wittego i rządu, idzie im na rękę.

Wszedł Bal, a widząc zebranych, spytał:

— Nad czem radzicie?—a gdy opowiedziano mu o memoryale, dodał—to wyłączenie Królestwa umocni naszą partyę.

— Prócz memoryału stawiano wniosek na tem posiedzeniu, aby rozpędzić manifestantów. To projekt Plessena i Gołubiewa.

— Ach ten Gołubiew — mruknął Bal i spojrzał nienawistnie na przeciwległe okna.

— Czy uderzą na pochód? — spytał Porwa pospiesznie.

— Ojciec odmówił — odpowiedział Kola z zadowoleniem — wbrew żądaniu wszystkich. Wojsko jednak będzie w pogotowiu na wypadek rozruchów.

— W takim razie — odezwała się Logika — powtórzy się scena z przed ratusza.

— Tak, to możliwe — szepnął Porwa.

— Ojciec najmocniej zastrzegł tylko sobie prawo wydawania rozkazów wojsku — mówił Kola — nauczony doświadczeniem.

— Wiecie towarzysze — zaczął Bal — ten jutrzejszy pochód może krwawo się skończyć. Wątpię, czy prowokatorzy zdołają wzniecić niepokój, ale obawiam się esdeków i bundowców.

— Widziałem się z Figurą — przemówił Porwa — powiedział, że esdecy zachowają się wobec manifestacyi obojętnie, ale bundu nie jestem pewny, zwłaszcza że kahał odmówił udziału w pochodzie.

— Tak, macie słuszność — rzekła Logika — bundziści mogą się awanturować.

— Czy macie Kola co jeszcze? — spytał Porwa.

— Ciekawy szczegół tylko, oto do ojca zgłosił się konsul niemiecki, aby mu dać posterunek i aby rząd nie pozwalał na manifestacye wolnościowe. Otrzymał odprawę dość surową, ale jak to charakteryzuje Prusaków!

— W takim razie — powiedział Porwa — memoryał osiągnie zapewne swój skutek. Ambasada niemiecka wpłynie na Wittego, który, zdaje się, iż liczy na pożyczkę niemiecką.

— Tak, masz racyę — przyznał Bal i zwracając się do Koli — czy memoryał już wysłany?

— Przypuszczam, że dziś poszedł.

— To i ja muszę się spieszyć z uwolnieniem naszych więźniów — rzekł Bal — bo z cofnięciem konstytucyi sądy wojskowe zajmą się energicznie...

— I zrobisz dobrze — powiedział Porwa wstając z krzesła.

— A wy dokąd? — zdziwiła się Logika.

— Muszę uwiadomić komitet manifestacyjny, że wojsko przygotowane, więc niech się wystrzegają awantury.

— Jakto, wy, Porwa, do endeków? — zdziwił się Kola.

— Idzie mi o krew polską, nie o endeków — odpowiedział twardo i wyszedł.

— Balu, ty idziesz na manifestacyę? — spytał Kola.

— Idę.

Wanda spojrzała tryumfująco na Kolę, który zwrócił się do Logiki:

— A wy?

— Będę.

— W takim razie pójdę i ja z wami — uśmiechnął się do Wandy.

Dzień manifestacyi, listopadowy, był cichy i pogodny. Na jasne niebo wypłynęło słońce promienne i rzuciło snopy światła na przystrojone ulice Warszawy, któremi miał kroczyć pochód narodowy. Na balkonach ukwieconych powiewały sztandary o barwach narodowych; w oknach wśród wieńców umieszczono wydobyte z głębokiego ukrycia portrety patryotów, walczących o wolność Polski.

Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Ujazdowskie przemieniły się pod wpływem bogatej dekoracyi w barwne, przepiękne aleje, pełne kwiatów, dywanów, portretów, a nastrój tłoczącej się publiczności był radosny i uroczysty. Postrojone panie i panowie nosili na widocznem miejscu kokardki narodowe, spinki, klamry, broszki z orłem polskim, małe bukieciki z kwiatów o barwach narodowych.

I zabrzmiały dzwony katedry, pochód ruszył. Zakołysała się olbrzymia fala ludu, podniesiono w górę sztandary z orłem białym, i nagle z piersi tysięcy i tysięcy wypłynęła pieśń: „Boże coś Polskę!...“

W pochodzie szli obok siebie Porwa i Logika, porwani, uniesieni, rozentuzyazmowani tym wspaniałym wybuchem miłości ojczyzny i dopiero gdy pochód zwracał się ku Marszałkowskiej szepnął Porwa:

— Czy rozumiecie teraz Logiko potęgę uczuć narodowych? — a na jej skinienie głową — i dlatego, jako partya walcząca, musimy te uczucia nietylko wcielić w nasz program, ale je budzić, krzewić, podnosić.

— Wy macie zawsze słuszność — uśmiechnęła się przyjaźnie — i teraz dopiero rozumiem całą doniosłość waszego planu, ażeby nasza partya była zorganizowała taki pochód narodowy, jak bylibyśmy wzrośli w siłę, znaczenie...

— Nie to najważniejsze, Logiko, ale nasze idee społeczne utorowałyby sobie drogę do szerokich mas... I w tem tkwi błąd taktyczny naszej partyi — westchnął Porwa.

— Straciliśmy dużo, to prawda — mówiła Logika — ale możemy wszystko naprawić.

— Prawda, ale dużo zależy od wyniku wyborów delegatów do komitetu centralnego.

Tłumy śpiewały wspaniały chorał Ujeskiego i nagle tony jakiejś innej pieśni poczęły mącić czystość melodyi. Porwa, który szedł z kraju płynącej fali ludzi, nasłuchując tonów mącącej pieśni, spojrzał w jedną z ulic poprzecznych i dojrzał gromadę żydów idących ku pochodowi z czerwonym sztandarem.

W tej chwili przemknęła mu myśl, że zetknięcie się może spowodować zamieszanie, burdę uliczną, bójkę, a w ślad za tą awanturą wojsko uderzy i dzień tak uroczysty, tak radosny zamieni się na krwawą rocznicę.



— Z chwilą gdy zwyciężymy, połączymy się na zawsze! Dobrze?

Kilku bliższym sąsiadom szepnął, aby poszli za nim i szybko skręcił w boczną ulicę, a z nim kilkunastu innych z pochodu. Zbliżyli się pospiesznie do idących żydów, a Porwa stając im w drodze zawołał głośno:

— Milczeć!

Na przodzie gromady żydów szli wyrostki, i, widząc przed sobą kilkunastu ludzi silnych, cofnęli się i umilkli, lecz dalsi zaczęli napierać i wkrótce stanęli przed sobą z jednej strony Polacy, z drugiej żydzi.

— Słuchajcie, towarzysze — mówił Porwa — zaprzestańcie śpiewu, schowajcie sztandar, rozejdźcie się...

— Nu, co to jest? — krzyknął jeden z żydów po rosyjsku — to jest gwałt! Idź precz ty patryoto!

Posunął się ku Porwie z zamiarem wszczęcia bójki. Porwa chwycił go za kark i silnie odrzucił go na bok, mówiąc:

— Wojsko stoi przygotowane, przy lada burdzie zacznie strzelać.

— Niech was wystrzelają wszystkich, wy patryotniki, wy gałgany — zawołał jeden z żydów, a widząc, że jeden z towarzyszów Porwy szybko zbliża się ku niemu, pospiesznie ukrył się w gromadzie, krzycząc:

— To rozbój! To gwałt! Biją nas!

Na krzyk żyda i na wszczęty tumult kilkunastu manifestantów z pochodu podeszło do stojących z Porwą i zaczęły padać ostre słowa i groźby:

— Obywatele! — zawołał Porwa — nie kalajmy tego dnia burdą uliczną. Uspokójcie się!... A was, bundowcy, proszę rozejdźcie się!

Żydzi w odpowiedzi zaczęli śpiewać hałaśliwie, wymyślając i parli naprzód!

Porwa postanowił nie dopuścić żydów do pochodu i zachęcał swych towarzyszy, aby się oparli naporowi.

Zdawało się, że bójka jest nieunikniona, gdyż na skraju ci i owi zaczęli się szamotać z żydami.

W tem przyszła niespodziewana pomoc. Z bramy jednej z kamienic przypatrywał się całemu zajściu oficer rosyjski i w chwili, gdy żydzi cisnęli się na stojących, krzyknął głosem komendy wojskowej:

— Razajtiś wy!... — i szedł ku Porwie.

Żydzi przystanęli, a widząc broń, przypuszczając, że wojsko jest w pobliżu, poczęli spiesznie uciekać.

Oficer, zbliżywszy się do Porwy, wyciągnął rękę mówiąc:

— Ja was poniał, wy czestnyj czełowiek.

Porwa serdecznie podziękował za okazaną pomoc i wrócił do pochodu narodowego.

Do późnej nocy rozkołysane fale ludu przepływały ulicami Warszawy, rozgorączkowane, podniecone, upojone radością i nadzieją jasnej przyszłości.

Nie tak radosnym był nastrój towarzystwa, zebranego u Logiki, gdyż Kola przyszedł późnym wieczorem i oznajmił, że konstytucya, nadana Rosyi, nie rozciąga się na razie na Królestwo i stan wojenny będzie trwał nadal aż do uspokojenia się kraju.

— To było do przewidzenia — rzekł Porwa — ale nie sądziłem, że cofną tak prędko.

— Wchodzimy więc napowrót w okres podziemnej walki — dodała Logika — ale tych kilka dni wolności przyczyniło się bardzo znacznie do uświadomienia szerokich mas.

Bal przechadzał się po pokoju, nie biorąc udziału w rozmowie, co zwróciło uwagę Koli i spytał:

— A ty co mówisz o tym zwrocie?

Trzeba ratować towarzyszy, grozi im sąd wojenny i szubienica.

— Czy masz plan jaki? — rzekł Porwa.

— Na razie nic nie wiem... jutro obejrzę po dniu ten fort Aleksiejewa.

— Mogę ci dać dokładne wskazówki — mówił Kola — byłem tam kilkakrotnie.

— Słucham więc — usiadł Bal — nasi siedzą w prawym pawilonie na piętrze, a wychodzą raz na dzień na przechadzkę.

Kola narysował ogólny szkic fortu, otoczonego wysokim murem ślepym na zewnątrz, gdzie wszystkie więzienne okna wychodzą na wewnętrzny dziedziniec.

— Przez mur niepodobna się dostać — objaśniał Kola — a bramy strzegą podwójne warty, wewnętrzna i zewnętrzna. Przekupstwo jest wykluczone, bo żołnierze zostają pod nieustannym dozorem podoficerów i oficera.

Przez jakiś czas oglądano Kolę w milczeniu, wreszcie rzekła Logika:

— A gdyby przemycić szynele i czapki wojskowe... możeby się udało?

— Nie, towarzyszko, pomijając bowiem trudność przebrania się pod okiem dozorców, każdy żołnierz musi się wpierw meldować i wykazać pozwoleniem opuszczenia fortu.

— Tak, to bardzo trudna sprawa — westchnął Porwa — ostatecznie trzeba będzie spróbować uwolnienia ich z karetki, gdy będą jechali na sąd. Co myślisz Balu?

— Sposób bardzo ryzykowny — wątpił Bal — pamiętacie próbę z Okrzeją... ale gdyby nie było innego sposobu...

Ciąg dalszy nastąpi

Dramat:


Adwentowiczowa Aniela.


Bednarzewska Konstancya.


Czaplińska Zofia.


Dobrzańska Marya


Jankowska Janina.


Gostyńska Anna.


Karszo Marya.


Kozłowska Izabela.


Leńska Zofia.


Michnowska Stefania.


Ogińska Antonina.


Otrembowa Julia.


Rotterowa Amelia.


Rowińska Hermina.


Siemaszkowa Wanda.


Trapszo-Chodowiecka Irena.


Zielińska Anna.


Adwentowicz Karol.


Antoniewski Władysław


Berski ignacy.


Bielecki Jan.


Chmieliński Józef.


Dobrzański Julian.


Czaki Henryk.


Fischer Gustaw.


Feldman Ferdynand.


Hierowski Stanisław.


Kęcki Jan.


Klimontowicz Henryk.


Kliszewski Antoni.


Kwiatkiewicz Władysław.


Mencel Ryszard.


Neumann Leonard.


Nowacki Jan.


Rasiński Gustaw.


Ruszczyc Wacław.


Ratschka.


Szobert Michał.


Walewski Adolf.


Wostrowski Ludwik.


Wysocki Franciszek.

Opera:


* Arnoldsohn Sigrida.


* Bellincioni Gemma.


Bohuss-Heller Irena.


Hendrichówna Wanda.


Kasprowiczowa Amalie.


* Korolewicz Janina.


* Kurzówna Selma.


Łopatyńska Filomena


Markówna Marya.


Mokrzycka Marya.


Szymanowska Marya.


* Wittyng Wanda.


Zboińska-Ruszkowska Helena.


* Battistini Mateusz.


Dianni August.


* Drzewiecki Henryk.


Dygas Ignacy.


Floryański Władysław.

*) Oznaczeni gwiazdkami, wystąpią w bieżącym sezonie gościnnie.


Jeleński Leon.


* Leliwa.


Ludwig Adam


Malawski Włodzimierz.


* Myszuga Aleksander.


Mossoczy Zygmunt.

Operetka:


Okoński Adam.


Pasławski Karol.


Paszkowski Władysław.


Żymirski Franciszek.


Brzozowska Jadwiga.


di Doi.


Kliszewska Karolina.


Miłowska Helena.


Schupp Helena.


Kosiński Feliks.


Lelewicz Audrzej.


Lejmann Michał.


Maszyński Julian.


Miłosza Adam.


Patiuszenko Michał.


Podhorski Henryk.


Rechniński Leon.


Sawicki Władysław.


Solnicki Józef.


Sulikowski Bolesław.


Szmidt Zygmunt.


Boric Jakób, sufler.


Kornażyński Józef.

Orkiestra teatru miejskiego we Lwowie.



Franciszek Słomkowski.



Rudolf Deman.



Franciszek Fugl.



Antoni Ribera.





Fryderyk Rukawina.



Jan Adam.



Bogumił Brosz.



Leon Langer.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego

Marya S.

8 (Ciąg dalszy).

— Wróciłam późno tej nocy — rzekła — i pragnę wypoczynku... Przed rozpoczęciem ostatniej walki pragnę pomówić z Heleną.

— Ale jakąż to biedne dziecko gra rolę w tem wszystkiem?

Lea wzruszyła ramionami.

— Posłuchaj mnie pan — rzekła — bo chcę żebyś wiedział, jakie jest nasze obecne położenie. Pan wiesz — nieprawdaż — przy słowach tych głos jej stał się surowym i rozkazującym — pan wiesz, że znaleziono dwóch zamordowanych ludzi kilka dni temu na ulicy Monge w domu pana Rebard'a? Wiesz pan również, że jeden z tych ludzi nazywał się Cornic, a czy mam panu przypomnieć nazwisko drugiej ofiary?

— Milcz! milcz! zaklinam cię — szepnął hrabia przerywanym głosem, kryjąc zbladłą twarz w dłonie.

— A więc — ciągnęła dalej młoda kobieta — nie przypuszcza pan chyba, aby policya pozostała obojętną na podobną sprawę i pewnie nie zadziwię pana oznajmiając, że poszukuje winnych!

— A więc ci winni?

Lea zaśmiała się ironicznie i wskazała hrabiemu drzwi biblioteki.

— Idź, panie hrabio — rzekła — za kilka godzin po wypoczynku, którego potrzebuję, będę mogła pomówić jeszcze z panem i obmyślić plan działania.

Hrabia wstał i skierował się do biblioteki, a młoda kobieta wyczerpana rzuciła się na sofę.

VII.

Towarzyszki.

W willi Senneterre, na pierwszem piętrze, była duża szklana weranda, która służyła w zimie za oranżeryę, w lecie zaś jako miejsce odpoczynku. Ciemne obicie ścian przyciemniło cokolwiek zanadto obfite światło, wpadające przez okna. Poza klombami z kaktusów, aloesów i palm egzotycznych, szemrał mały wodospad, napełniający biały marmurowy basen, skąd miły i ożywczy chłód rozchodził się po werandzie. Ptaki różnorodne o barwnych, jasnych skrzydłach, fruwały z krzewu na krzew i można było przy pomocy bogatej wyobraźni sądzić, że zakątek ten znajduje się pod czystem tropikalnem niebem, lub jest pożądaną oazą pełną cienia, woni i śpiewu ptasząt. Wieczór nadchodził i szmery wszelkie ustały. Helena Senneterre siedziała w wielkim fotelu, wybitym niebieskim jedwabiem pod wielkim papyrusem, który tworzył rodzaj wachlarza nad jej głową. Twarz jej otoczona jasnymi włosami, odcinająca się wdzięcznie na ciemniejszem tle, była zamyślona i smutna: ręce łagodnym ruchem złożyła na kolanach i oddawała się słodkim marzeniom, upojona czarem otoczenia.

Helena de Senneterre liczyła najwyżej lat 17. Oczy jej koloru niezabudek, posiadały łagodny wyraz. Usta zawsze blade nie nauczyły się jeszcze uśmiechać wesoło. Pod uderzającą bladością jej gładkiego czoła krył się głęboki smutek. Życie tego dziecka było dotąd jednem pasmem cierpień; nie zaznała ona czułych pieszczot matki, która umarła wydając ją na świat — ojca zaś zaledwie pamiętała! Wspomnienie jego było snem niewyraźnym i bladym. Oddana w młodych latach do klasztoru, przebyła w nim do lat piętnastu. Gdy wyszła stamtąd lat temu dwa, powiedziano jej, że ojciec nie żyje, a właściwie, że od lat kilku nie dał żadnego znaku życia. Pchany gorączkową ciekawością puścił się w świat, szukając nieznanych przygód i wzruszeń, a konsul jakiegoś odległego kraju doniósł rodzinie o jego śmierci. Miał on brata młodszego, który zaraz zaopiekował się dziewczęciem i zastąpił jej ojca. Opiekun ten był prawie zupełnie zrujnowany w chwili, gdy odbierał do przechowania ogromny majątek, który brat jego zostawił swojej córce.

Ci, którzy znali lekkomyślne życie hrabiego Senneterre, dziwili się niezmiernie, dowiedziawszy się, że został opiekunem dziewczęcia. Ale zdawało się, że hrabia zmienił tryb życia, postępując w ten sposób, że zapomniano po trochu o szalonej jego przeszłości. Zerwał z towarzyszami nocnych zabaw, hulanek, a poświęcił się cały siostrzenicy i zdawało się, że posiada teraz jedną tylko ambicyę: zapewnienie jej szczęścia, jakiego wymagała jej uroda i majątek.

Helena posiadała naturę łagodną i szczerą. Życie uśmiechało się do niej i choć śmierć ojca, którego zaledwie znała, pozostawiła niezatarty smutek na jej wrażliwej duszy; przyniosła w dom stryja żywość swych lat piętnastu i gorące pragnienie szczęścia i użycia.

W domu stryja znalazła towarzyszkę, o której jej nie mówiono i której nie spodziewała się tu zastać. Była to Lea. Towarzystwo jej dla Heleny było prawdziwą radością. Lea była w jej wieku; była bardzo ładna, miała ruchy zgrabne i wykwintne. Dwie te młode dziewczyny uderzały oko kontrastem swych postaci, Lea była brunetką o twarzy jasnej i różowej, spojrzenie jej było pogodne i stanowcze, usta miała ładne, ponsowe. Życie i energia biły od tej postaci młodej i namiętnej. Podczas gdy największym wdziękiem Heleny była dziwna łagodność i powolność ruchów i smutna melancholia, bijąca z jej jasnych oczu.

Wspólne pożycie z Leą wywarło na Helenę szczęśliwy wpływ. Przedewszystkiem nie była ona już teraz tak opuszczona; młode dziewczęta nie rozłączały się prawie. W krótkim czasie życzliwość Heleny dla Lei, której hrabia również okazywał wiele przywiązania, zamieniła się w gorącą przyjaźń. Przyjaźń ta ułatwiła pewne podobieństwo losu dziewcząt.

Obydwie były sierotami — bo choć Lea wiedziała, że ojciec jej żyje, straciła jednak nadzieję ujrzenia go kiedykolwiek. Jednakże serdeczna ta zażyłość, która tak uszczęśliwiała Helenę, została dnia pewnego silnie zagrożoną. Jakim sposobem do tego przyjść mogło? Co za wypadek stał się tego przyczyną? Helena sama nie wiedziała. Długo męczyła się przypuszczeniami. Rok zaledwie minął od ich spotkania się w willi Senneterre, gdy niewytłómaczona zmiana nastąpiła w usposobieniu Lei. Stała się nerwowa, szorstka, kapryśna; wesołość jej znikła, unikała spotykania się z towarzyszką i często dostrzegała Helena na jej ustach uśmiech gryzący, który jasno wskazywał, że jakieś uczucie niedobre opanowało jej duszę. Dla biednej Heleny był to cios ciężki. Od dnia tego zaczęła blednąć. Dziwna niemoc owładnęła jej organizmem i Lea, napozór obojętna i spokojna, widziała jak towarzyszka jej zamiera z dniem każdym.

W dniu tym Helena przyszła na werandę i leżąc w fotelu myślała o swojej przeszłości od dnia wyjścia z klasztoru. W marzeniach tych występowały jasno dwie postacie. Gdy myślała o nich, łzy napływały do jej oczu. Jedną z tych postaci była Lea! Myślała o niej uporczywie, czepiając się gorączkowo tej przyjaźni, z której do niedawna czerpała tyle radości, nie mając odwagi wyrzec się jej na zawsze. Lea była jej jedyną, najlepszą przyjaciółką, jedyną istotą, która mogła rozjaśnić samotność jej i życie bezbarwnie upływające, przy boku jej smutnego i zawsze ponurego opiekuna. Była tak szczęśliwa! Dlaczegoż ta radość tak krótko trwała? Co było powodem tej nagłej obojętności i zimnego zachowania się towarzyszki? Niegdyś Lea była dla Heleny pobłażliwą i cierpliwą powiernicą, której bez obawy odkrywała troski i marzenia swego młodego serca. Były to marzenia bardzo niewinne, ale ilekroć wspominała o nich, ogarniało ją dziwne pomieszanie, a na twarz jej występował gorący rumieniec.

Helena kochała!

Poznamy wkrótce tę głęboką tajemnicę Heleny, której strzegła tak zazdrośnie. Był to jej poemat, pierwszy gorący śpiew jej serca, z którego czerpała siłę do życia, ilekroć rozpacz zaciemniała jej duszę.

Już od roku blisko Helena czuła, że zamiera. Czuła się niekiedy tak osłabioną, miewała tak silne omdlenia, iż zdawało się jej, że już niedługo pożegna się ze światem, który miał dla niej tylko smutki i zawody. Ale od kilku miesięcy szczęśliwa zmiana nastąpiła u niej. Nadzieja bezwiednie wstąpiła w jej duszę, wywołując gorące pragnienie życia. Była przecie tak młodą! a młodość, choć nieszczęśliwa i smutna, kryje zawsze na dnie swych cierpień wiarę i nadzieję. Już od kilku godzin Helena spoczywała na werandzie zamyślona i skupiona; od czasu do czasu wyjmowała z za bluzki bilecik, który pożerała prawie oczami i napowrót z uśmiechem szczęścia wsuwała go pod koronki, zdobiące jej suknie. Była tak zatopiona w marzeniach, że nie usłyszała lekkiego szmeru poza sobą — w drzwiach werandy trzymając w ręce podniesioną zasłonę — stała Lea. Z powagą i skupieniem przyglądała się chwilę Helenie, która nie zauważyła jej wejścia. Nagle młoda dziewczyna drgnęła, odwróciła się lekko i krzyknęła:

— Lea! Lea! — rzekła z radością i wstała wyciągając do niej ręce — nareszcie przyszłaś! Jakaś ty niedobra! Dlaczego tak mało dbasz o mnie? Powiedz! Czy masz mi co do zarzucenia? Czy popełniłam jaką zbrodnię, za którą cię przepraszać muszę? Jeżeli ci tylko o to chodzi... Patrz! zrobię co zechcesz! Widzisz, jak bardzo cię kocham. Powiedz słówko, a ja uczynię, co tylko zechcesz?

I mówiąc to młoda dziewczyna otoczyła ramionami szyję przyjaciółki i trzymała ją długą chwilę w gorącym uścisku. Nareszcie podniosła twarz załzawioną.

— Ah! gdybyś ty wiedziała, jak ja cierpię przez ciebie! — mówiła starając się stłumić łkanie — ale teraz chcę o wszystkiem zapomnieć skoro jesteś tutaj! Już nie pamiętam nawet, że płakałam przez ciebie!

Lea uśmiechała się z przymusem.

— Szalone dziecko! — rzekła tonem matki — po co to wszystko, powiedz! Wiesz przecież, że i ja cię kocham!

— Wątpiłam przed chwilą... ale teraz nie, nie! Ale czekaj jeszcze!

— Cóż chcesz uczynić?

Helena wzięła obie ręce przyjaciółki i przyciągnęła je łagodnie do siebie.

— Popatrz mi prosto w oczy... jeżeli skłamiesz... nie oszukasz mnie!...

Lea spuściła oczy pod jasnem i szczerem spojrzeniem dziewczęcia — zmarszczka przecięła jej białe czoło, ale nagle wypogodzona i spokojna spojrzała na Helenę z lekkim uśmiechem.

— Tak! tak! kochasz mnie — zawołała Helena z wylaniem — jest coś w twojem sercu, co starasz się ukrywać przedemną i czego ja odgadnąć nie mogę. Ale zresztą czemu mam się niepokoić twojemi tajemnicami, skoro mnie kochasz — nieprawdaż? Widzisz Leo, jest coś, o czem myślę od pierwszego dnia naszego poznania i to jest najukochańszem pragnieniem mojego serca!

— Pragnienie serca? — zapytała Lea. — Co to ma znaczyć?

— Leo! moja najdroższa! Chcę, żebyśmy się nigdy, słyszysz, nigdy nie rozłączały ze sobą.

— Nigdy! jesteś szalona!

Na ustach Lei pojawił się pogardliwy uśmiech.

— Zapominasz, że to nie jest do urzeczywistnienia. Że dziś, jutro wydarzyć się może coś takiego, co wpłynąć będzie musiało na to rozłączenie, którego tak się obawiasz i którego ja również się lękam.

— Może się coś wydarzyć! Co takiego, na Boga! Leo, niepokoisz mnie!

— Dziecko jesteś! A twoje małżeństwo?

Na te słowa rumieniec żywy wybiegł na bladą twarz Heleny Senneterre, przycisnęła ręką serce i krzyknęła lekko.

Gdyby w tej chwili nie była tak bardzo zajęta swojemi myślami, byłaby mogła zauważyć błysk niebezpieczny, który przebiegł w czarnych oczach Lei.

ROZDZIAŁ VIII.

Zwierzenie Heleny.

Trwało to minutę.

Helena uchwyciła gorączkowo ręce swojej przyjaciółki.

— Moje małżeństwo? — zawołała — mówiłaś o mojem małżeństwie? Co masz na myśli?

— A czy ty sama o tem nie myślisz?

— Ja! ja! ja!

Dreszcz trwogi przeszedł wątłe ciało dziewczęcia.

— Co ci jest? — zapytała Lea głosem zimnym i twardym jak stal.

Helena przesunęła rękę po czole i spojrzała w koło siebie prawie nieprzytomnie. Na ustach jej drżało jakieś wyznanie, ale siłą woli stłumiła je w sobie.

— Nic! to nic — szepnęła stłumionym głosem schylając nizko głowę.

— Moja droga — mówiła dalej Lea spokojna i zimna — lękasz się rzeczy, która musi wcześniej czy później stać się rzeczywistością. Hrabia często wspominał o tobie i jeżeli chcesz wszystko wiedzieć, to dowiedz się, że jego zwierzenia zaniepokoiły mnie tak silnie, że zaniedbałam po części przyjaźń naszą i spowodowały tę oziębłość, na którą uskarżałaś się przed chwilą.

Helena podniosła głowę i spojrzała na Leę; starała się dociec, jakie uczucie mówi teraz przez nią.

Wieczór zapadał; szare cienie szły od gęstych drzew parku, a twarz Lei tonęła w mglistym mro-

ku. Helena dostrzegła tylko ponury błysk oczu towarzyszki i zlękła się.

— Co ty mówisz Leo? — szepnęła nieśmiało — co za zwierzenia mógł ci zrobić mój wuj i w czemże się one mnie tyczyły?

— Hrabia myśli poważnie o twojej przyszłości.

— Chce mnie wydać zamąż? I któż jest tym tajemniczym mężem, którego mi przeznacza?

— Czy mam ci przypomnieć jego nazwisko?

— Nie! nie... masz słuszność!... znam go przecie!... Zamęcza mnie swoją miłością i powiedziałam już hrabiemu, że nigdy, za żadną cenę nie zostanę żoną hrabiego des Tournelles.

— Dlaczego?

— Mniejsza o powód! Czyż nie zależę tylko od siebie?

— Czy nie jestem dość bogatą, by módz wybrać sama człowieka, któremu powierzę całe swoje życie? Ah! hrabia wie o tem dobrze! on ma cały mój majątek w ręce i nigdy nie zapytałam go co z nim robi.

Lea spojrzała na Helenę; jeszcze nigdy nie widziała jej tak wzburzonej. Czy Helena odgadła, co się dzieje w duszy przyjaciółki? czy odgadła myśli, które ją pochłaniały? Uśmiechnęła się zrezygnowana.

— Oh! hrabia nie potrzebuje się mnie obawiać — mówiła dalej gorzko — otoczył mię staraniem i opieką, nie chcę zasmucać jego starości; był ubogim zanim został moim opiekunem — będzie bogatym, gdy ja stąd wyjdę do domu mego męża. Na co mnie majątek? Lubię życie skromne, bez blasku i hałasu, nie zmienię pod tym względem nigdy przekonania i człowiek, którego wybiorę, będzie żądał tylko mojej miłości.

— Skąd o tem wiedzieć możesz? — zapytała Lea.

— Oh! jestem tego pewną!

— Znasz go więc?

— Co za szaleństwo!

— Czemu nie jesteś szczerą? Skąd ta nieufność do mnie? Czy mi nie dowierzasz?

— Nie mów tego.

— Jest więc człowiek, na którego zwróciłaś uwagę... który powiedział ci, że cię kocha... i którego ty kochasz także... Czy to jednak jest możliwe? Ja, która ciebie nigdy nie opuszczam, musiałabym wiedzieć o tem.

Helena milczała. Stała, skrzyżowawszy ręce na piersiach, falujących żywo, z oczami upornie utkwionemi w podłogę.

Lea uczyniła gest gniewu i zniecierpliwienia.

— Ależ mów-że! Odpowiadaj — zawołała z ustami skrzywionemi konwulsyjnie, ciałem pochylonem naprzód, z spojrzeniem, w którem mieściła się nienawiść i obawa z ciekawością.

— Albo lepiej nie! nie mów! Zamknij usta, zamknij twoją tajemnicę głęboko w sercu. Ale ja, ja, słyszysz Heleno, widziałam wszystko, zrozumiałam wszystko i znanem mi jest marzenie, które pieścisz w sobie od sześciu miesięcy!

— Co mówisz Leo! — zawołała Helena zrywając się wylękniona.

Lea ją zatrzymała i kazała usiąść z powrotem.

— Ah! cóż to? sądzisz, że jestem ślepą? — ciągnęła dalej głosem ostrym, nie panując już nad sobą. — Ależ od dnia, w którym tak marzyć zaczęłaś, odgadłam zaraz, kto jest przedmiotem tych marzeń i jeżeli sama nie śmiesz wymówić imienia ukochanego — ja ci je powiem — chcesz?

— Milcz!

— Chcesz je usłyszeć?...

— Przez litość...

Lea pochyliła się drżąca i rozgorączkowana ku dziewczęciu ruchem jastrzębia, chcącego porwać gołąbkę, i głosem nizkim, chrapliwym szepnęła jakieś imię, na dźwięk którego Helena zbladła.

— No cóż? czy omyliłam się? — nalegała Lea. Czy nie powiedziałam prawdy?... czy może powiesz, że nie zgadłam?

Helena milczała chwilę.

Była pod wrażeniem dziwnego uczucia; była przelękniona i drżąca, a jednak szczęśliwa! bała się tego imienia, które przed chwilą Lea szepnęła jej do ucha, a jednak w tej bezbrzeżnej miłości czerpała moc i siłę, której tak potrzebowała w tej chwili:

Bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, czy przypuszczenie jej jest mylne, czy też prawdziwe, — czuła, że w słowach Lei kryje się jakaś myśl uboczna, nie widziała jej wzroku, bo ciemność zupełna zalegała już werandę, lecz czuła, że ciąży na niej i krępuje jej myśli... Zawstydziła się samej siebie, na chwilę duma jej i miłość zbuntowały się i pod wrażeniem tego uczucia wyprostowała się, pewna siebie i podniecona, obrzucając przyjaciółkę wzrokiem rozgniewanym, pełnym ironii i pogardy.

— A więc! gdyby i tak było — zawołała głosem stanowczym i ostrym — gdzie wina? Czy nie jestem samą, niezależną od nikogo? Czy nie ja tylko mam prawo rozporządzać mojem życiem? Tylko Bogu mam obowiązek zdawać sprawę z moich czynności, ah!... On jeden wie wszystko! Dosyć cierpiałam! Gdzie jest zbrodnia? powiedz! powiedz! Jednego dnia człowiek pewien zbliżył się do mnie; cierpiał tem samem cierpieniem, którem ja cierpię! był sierotą, tak jak i ja... w przeszłości jego była ciężka żałoba, która zaciemnić miała całe jego życie! Było to zeszłego lata, — podczas, gdy ty podróżowała z hrabią po Włoszech, a mnie na rozkaz lekarzy wysłano nad morze, gdzie, jak sądzono, mogłam odzyskać zdrowie. Powróciłam silniejsza... ale nie uzdrowiona! Wyjechałam z rozpaczą w duszy... powróciłam ogrzana cudnym promieniem, który zajaśniał w mem sercu... Bóg się ulitował nademną i zesłał mi tego, którego miałam pokochać... Któż może mi czynić wymówki za to szczęście? Oh! przecież nie ty, Leo? Leo! moja droga Leo! Nie mów już nigdy do mnie tym okropnym zimnym, niepoczciwym głosem! Gdybyś ty wiedziała, jaka to rozkosz kochać człowieka godnego naszej miłości i gdybyś ty wiedziała, jak bardzo go kocham.

— Jerzego? — zapytała młoda kobieta stłumionym głosem.

— Tak! Jerzego... — odpowiedziała Helena... — Po cóż mam to ukrywać? Chciałabym to módz rozgłosić wszystkim... ale ty go poznasz i jestem przekonana, że będziesz musiała go także pokochać!



— Szalone dziecko! — rzekła tonem matki — poco to wszystko, powiedz?

— Ja? — zawołała Lea drżąca i zmięszana.

Schyliła głowę — milczenie jej krótko trwało; silne uczucie nią miotało. Ta rozmowa była dla niej strasznem cierpieniem, a jednak zdawało się, że w tem cierpieniu czerpała dziwną przyjemność.

— Dobrze! — rzekła — kochasz go! Widzę to... i nie masz innego pragnienia, jak tylko zostać jego żoną!

— O! Bóg mi świadkiem!

— Dobrze! dobrze... Ale ty nie przewidziałaś wszystkiego!

— Cóż takiego?

— Mogą zajść pewne przeszkody!

— Jakie?

— Hrabia ma inne zamiary... wiesz o nich... proteguje hrabiego des Tournelles.

Helena uchwyciła dłoń przyjaciółki.

— Mówiłam ci już i powtarzam raz jeszcze — rzekła stanowczo — że pomimo przeszkód, które stawiać mi mogą, pomimo wyrzutów, wytrwam i będę należeć tylko do człowieka, którego kocham!

I nie dając Lei dojść do słowa, ciągnęła dalej z twarzą rozjaśnioną wewnętrznym ogniem:

— Oh! ty, ręczę, nie znasz siły tego uczucia, które porywa całą naszą istotę z nieubłaganą wolą i mocą? Od chwili, w której się kochać poczyna, nie należy się już do siebie, oddaje się niepodzielnie szczęściu i miłości. Mój Boże! Przecież ja o życiu nic nie wiedziałam, zanim go spotkałam — nie żyłam! Gdyby mi on rozkazał umrzeć w tej chwili, na jedno jego słowo, jedno poruszenie ust jego — uczyniłabym to z rozkoszą! A przytem, obok tej wielkiej miłości, którą czuję dla niego — jest w sercu mojem uczucie macierzyńskiej tkliwości. On był tak nieszczęśliwy przed poznaniem się ze mną, tyle wycierpiał biedny! Nie rozumiesz uczucia, jakie mnie ogarnęło, gdy po raz pierwszy na tej smutnej twarzy ujrzałam błysk prawdziwej i szczerej radości! gdy po raz pierwszy ujrzałam jego uśmiech. Ah! Leo, za to uczucie oddałabym krew moją!

Helena umilkła wzruszona. Rzuciła się wyczerpana na fotel, drżąca ze wzruszenia, oddychając ciężko. Bladość pokryła jej delikatne policzki i Lea obawiała się przez chwilę, że straci przytomność. Błyskawica przemknęła przez jej czarne oczy, skoczyła do drzwi i przycisnęła dzwonek elektryczny.

Wbiegła pokojowa.

— Prędko! prędko! wody — rozkazała młoda kobieta.

I pochylona wpatrywała się uporczywie w leżącą bezwładnie przyjaciółkę.

— Jak ona go kocha — wyszeptała przez zaciśnięte zęby — ja... ja się wahałam!

Pokojowa weszła, niosąc szklankę wody.

— Czy panienka potrzebuje mojej pomocy? — zapytała zaniepokojona.

Lea oddaliła ją ruchem ręki.

— Nie! możesz odejść — rozkazała — sama zaopiekuję się panną Heleną.

Zaledwie znalazła się sama, skoczyła do stolika, na którym służąca postawiła wodę i wzrok przenikliwy zapuściła w kurytarz, którym się oddaliła.

Cóż uczyniła wtedy? Czy zdawała sobie sprawę ze swojego uczynku?

Gdy powróciła do Heleny, była jeszcze bledszą od niej. W tej chwili młoda dziewczyna poruszyła się. Osłabienie mijało. Westchnęła głęboko i otworzyła oczy w chwili, w której Lea podawała jej szklankę wody.

— Źle robisz, poddając się podobnym wzruszeniom — rzekła głosem słodkim i pieszczotliwym — jesteś delikatną i wątłą, powinnaś się szanować... Wypij to i staraj się opanować... jutro pomówimy jeszcze o tem, jeżeli zechcesz.

— Ah! jaka ty jesteś dobra — szepnęła Helena — byłabym bardzo nieszczęśliwą, gdybym musiała zwątpić o twojem przywiązaniu dla mnie.

— Drogie dziecko!

— Nie będziesz się gniewać na mnie?

— Przyrzekam ci. (C. d. n.)

Balet teatru miejskiego we Lwowie:



Staszko Wacława. Poray Janina. Sachsówna Adela. Sachsówna Wanda. Sachs Stanisław.

Skon dzielnego redaktora.

Ubył Warszawie jeden z najdzielniejszych i najwybitniejszych redaktorów polskich, dziennikarz i publicysta z krwi i kości, wydawca „Kuryera Porannego", ś. p. Feliks Fryze. Zmarł nagle, przeżywszy lat 64, a skonem swym niespodziewanym, przedwczesnym wywołał powszechny i szczery żal.

Ś. p. Fryze, syn naczelnika w b. komisyi wojny wojsk polskich, ukończył gimnazyum w Warszawie, poczem oddał się studyom matematyki w Szkole Głównej. Po jej zamknięciu, poświęcił się zawodowi dziennikarskiemu, a jako współpracownik „Kuryera Warszawskiego" wybił się na czoło szeregów dziennikarskich przez swą ruchliwość, pracowitość, znaczną wiedzę i wysoką inteligencyę. W początkach swej pracy dziennikarskiej podróżował wiele, a wrażenia swe spisywał w barwnych fejletonach. W roku 1876 założył w Warszawie wspólnie z Feliksem Burzyńskim czasopismo „Kuryer Poranny", i pismo to doprowadził do bardzo wysokiego rozwoju. Wyróżniało się ono szybkością i ścisłością informacyi i stąd cieszyło się powszechną popularnością i poczytnością.

Ś. p. Fryze był dziennikarzem w wielkim stylu, chwilę współczesną odczuwał znakomicie i umiał ją odźwierciedlać w swem piśmie. Dbał też niezmiernie troskliwie o ulepszanie wydawanego przez się dziennika, jeździł w tym celu na wszystkie zagraniczne kongresy prasy międzynarodowej, studyował postęp techniki dziennikarskiej i stosował jej zdobycze w „Kuryerze". W ostatnich czasach, kiedy wydawnictwo jego organu zostało zawieszone, ś. p. Fryze zmienił tytuł „Kuryera" na „Przegląd Poranny". Pierwszym i głównym punktem w programie tego pisma było dążenie do pozyskania jak najlepszych informacyj. Ze szkoły śp. Fryzego wyszedł cały poczet dzielnych, energicznych dziennikarzy, którzy w warszawskim świecie publicystycznym zajęli wybitne stanowiska.

Skon redaktora Fryzego pozostawia wśród licznej rzeszy pracowników pióra lukę niezapełnioną. Pozostanie tylko po zmarłym między dziennikarzami pamięć prawego, uczynnego i serdecznego towarzysza pracy, który świecił przykładem umiłowania swego zawodu, który był przyjacielem i o-



Skon dzielnego redaktora: Śp. Feliks Fryze, redaktor »Kuryera Porannego«.



Teatr miejski we Lwowie: Koryfejki baletu.

Administracya teatru miejskiego we Lwowie:



Webersfeld Edward, kierownik administracyi. Podhorski Henryk, inspektor garderoby. Salamon Michał, bibliotekarz. Duszyńska Stefania, kasyerka. Jasieński Stanisław, inspektor sceny. Balk Zygmunt, dekorator.

piekunem młodych, początkujących adeptów dziennikarskiego zawodu, a między obywatelstwem Warszawy pamięć człowieka o wielkich zaletach serca i umysłu.

Cześć jego pamięci!

Z TYGODNIA

Powróciwszy po letnich wywczasach do Krakowa, przekonałem się, że gród nasz stoi na swojem dawnem miejscu i nic się nie zmienił. Wprawdzie tu i ówdzie stał się czyściejszy (teatr, nowa siedziba Banku hipotecznego, Bank galicyjski itd.), ale za to gdzieindziej srodze pobrudniał — jednem słowem pod względem zewnętrznym nastąpiło wyrównanie.

Mało zmieniła się i fizyognomia duchowa miasta. Handelki, jak dawniej, wrą życiem; w teatrze, jak zawsze na początku każdego sezonu, dają same „nowości“, jako to „Rewizora z Petersburga“, „Urzędową żonę“; dzienniki, jak dawniej. przynoszą niesłychanie interesujące telegramy, jak np. że „Lueger udał się samochodem do Neubruck koło Scheibbs“. Co do stosunków ekonomicznych, te z każdym dniem się polepszają... dla właścicieli kamienic, piekarzy, rzeźników i składników węgla. Pierwsi podnoszą czynsze z tej przyczyny, że niema już przepełnienia, niema już braku mieszkań, spowodowanego napływem „królewiaków“; piekarze każą sobie więcej płacić za pieczywo, ponieważ mąka staniała; rzeźnicy biorą więcej za mięso, ponieważ cena „żywego towaru“ stoi w mierze; wreszcie składnicy węgla podnieśli jego cenę z tej racyi, że w miesiącach letnich węgiel ich mniej kosztuje. A ponieważ ze wzrostem dobrobytu jednostek, powiększa się dobrobyt ogólny, przeto „ogół“ powinien szczerze się cieszyć z tego napęcznienia kieszeni kamieniczników, „chleborobów“, wieprzobijów i dostawców opału.

Wzmianka o teatrze przypomina mi sprawę budowy teatru ludowego w Krakowie. Ma ona (budowa, nie sprawa) z dziedziny projektów przejść w dziedzinę rzeczywistości. Architekt Zawiejski z polecenia prezydenta pracuje nad wykonaniem planu na ten przybytek sztuki. Bardzo to pięknie, ale mniej pięknie, że utworzyło się konsorcyum anonimowe, które pragnie podstawić stołka myśli p. prezydenta i projektowi p. Zawiejskiego. Konsorcyum to stara się o pozwolenie wybudowania własnym kosztem teatru... drewnianego. Przeciw takiemu rozwiązaniu sprawy stanowczo zastrzedz się należy.

Przedewszystkiem budynek drewniany dla teatru, to już na dzisiejsze czasy anomalia. Nie uchodzi on nawet w miastach prowincyonalnych, a cóż dopiero w Krakowie. Zwolennicy tej „idei“ powołują się na to, że istnieje w Warszawie drewniany teatr letni w Ogrodzie Saskim. Prawda — ale już sama nazwa: „teatr letni“ objaśnia rzecz całą. Ponieważ w teatrze Wielkim podczas letnich miesięcy panowało nieznośne gorąco, więc wybudowano w ogrodzie teatr drewniany, przewiewny, do którego na lato przenosiły się i przenoszą muzy teatru Wielkiego. Na taki teatr, na taką filię teatru *miejskiego*, zupełna zgoda. Kraków powinien do tego dążyć, aby i przez lato nie był pozbawiony dramatu i komedyi. Był nawet czas za Koźmiana, że robiono w tym względzie próby i na zaimprowizowanej scence „pod gołem niebiem“ w ogrodzie strzeleckim, a potem w budzie drewnianej „pod Wilkiem“ mieliśmy teatr na lato. A Kraków wówczas (było to koło r. 1875) liczył 60.000 mieszkańców, a z przedmieściami koło 80.000 — dziś ich zaś liczy dwa razy tyle. Jeżeli więc wówczas można sobie było pozwolić na teatr letni i jeżeli wówczas nie narażał on na straty, to dziś prawdopodobnie byłby wcale dobrym interesem. I tylko brakowi odwagi, brakowi przedsiębiorczości przypisać należy, że następcy Koźmiana zamykali i zamykają „budę“ na lato.

Ale co innego teatr drewniany na zimę, teatr stały, teatr **o p a l a n y**. Samo niebezpieczeństwo pożaru jest dostateczne, aby podobny projekt uznać za niefortunny i wogóle niepodlegający dyskusyi.

To rzecz jedna. Ale idzie tu jeszcze o co innego. Przeciwnicy budowy przez gminę teatru ludowego murowanego, obawiają się konkurencyi, jaką by ten teatr wytworzył teatrowi miejskiemu. Naprzód, jeżeli idzie o konkurencyę, to i teatr drewniany wytworzyłby ją również. Ale obawa ta byłaby płonną, jeżeli teatr ludowy wypełniałby ściśle swoje przeznaczenie, jeżeliby trzymał się właściwego repertuaru, jeżeliby w murach swych gromadził te szerokie warstwy, dla których scena miejska jest nieprzystępną, zarówno swemi cenami, jak repertuarem. A choćby była nawet pewna konkurencya, boć znalazłyby się sztuki, że tak powiemy „wspólne“, odpowiednie do grania zarówno na obu scenach, to taka konkurencya wyszłaby tylko na dobre miejskiemu teatrowi. Dzierżawca jego więcej musiałby dbać o dobór personalu — a wówczas nie obawiałby się... konkurencyi. Jeżeli co, to właśnie zupełny brak konkurencyi odbijał się smutno na poziomie sceny krakowskiej w ostatnim lat dziesiątku.

Ale idzie tu wreszcie o zasadę. Teatr ludowy, jeżeli ma odpowiedzieć swemu zadaniu, nie powinien być przedsiębiorstwem prywatnem, ale instytucyą publiczną. Wybudowany i kontrolowany przez gminę, przynosiłby dzierżawcy tylko pewne *quantum* za jego pracę — wybudowany i prowadzony przez jakieś konsorcyum finansowe, stałby się przedsiębiorstwem, któreby nie przebierało w środkach dla powiększenia zysków i albo sprowadziłoby teatr ludowy na manowce, albo wytworzyłoby właśnie tę konkurencyę, o którą jest obawa. Byłby to albo drugi taki sam teatr, jak miejski, albo tingel-tangel na większą skalę. Tak czy owak, dość, że nie byłoby teatru... ludowego.

Może w tym nowym **l u d o w y m** teatrze popisywaliby się i ci panowie atleci, co teraz walczą o „mistrzostwo Europy(!!!!)“ w ogrodzie krakowskim. Pożytek z takich „popisów europejskich“ jest zaiste wielki, byłby zaś jeszcze większy, gdyby niemi lud zainteresować. O estetycznem i etycznem znaczeniu tych walk, dość w ostatnich czasach pisano. Kto posiada klepki w porządku, ten rozumie, że tego rodzaju zapasy obudzają tylko niskie instynkty, rodzą uwielbienie dla siły pięści, z cyrkowych siłaczy robią bohaterów; kto zaś posiada odrobinę smaku, poczucia piękna, dla tego panowie atleci są okazami zwyrodniałego ciała ludzkiego, to nie starożytni atleci, młodzieńcy o klasycznych formach ciała, ale karykatury, karmne wieprze. Ciekawa rzecz, czy Kraków na tę zabawę „poleci“. Leciał dawniej, to prawda, ale ogół czasami mądrzeje, zwłaszcza gdy się przekona, że go biorą na „kawał“. Boć obecnie jestto powszechnie wiadomem, że panowie atleci grają komedyę, że wszelkie ich zakłady to farsa, że dziewięć dziesiątych pomiędzy nimi to najęci przez „mistrzów“ komparsi, mający obowiązek dać się położyć na łopatki. „Mistrze“ zaś dzieląc się dochodami z głupoty ludzkiej, umawiają się z góry, gdzie który ma być zwycięscą. Głównie o to chodzi, aby utrzymać zaciekawienie tłumów przez wprowadzanie „nowych sił“, przez „nierozstrzygnięcie walki“ itd. Upatrzony zwycięsca występuje dopiero przy końcu turnieju. Otóż te „machinacye“ dostatecznie już wykryto i objaśniono, nie wiedzą o nich chyba tylko analfabeci.

Innego rodzaju odkrycie zrobiono co do jednego z bohaterów pekińsko-paryskiego wyścigu samochodów. Idzie tu o p. Godarda, jadącego na holenderskim samochodzie „Spyker“. Przybył on do Warszawy równocześnie z dwoma samochodami firmy Dion-Bouton. Bohaterom głupsza część Warszawy urządziła wspaniałe przyjęcie. Wyległo dużo gapiów na ich powitanie, cała rzesza sportowców wyruszyła na ich spotkanie przed „bramy miasta“, podobizny ich wystawiono na widok publiczny, *Kuryer Warszawski* wydał na ich cześć bankiet w Bristolu. Na tym bankiecie pito i zdrowie Godarda; jeden z dziennikarzy kuryerkowych nazwał go „niezmordowanym, nieustraszonym i bohatersko walczącym sam na sam z niesłychanemi wprost przeszkodami drogi i podróży“, drugi widział w nim „bohatera dnia grodu naszego“. Dowiedzieliśmy się też z *Kuryera*, iż „prawdziwą niespodzianką dla Godarda było, gdy ujrzał swój samochód prześlicznie udekorowany żywem kwieciem przez współpracowniczki hotelu Bristol“. Tymczasem pisma zagraniczne obwieściły światu, iż ów p. Godard zajmował się przez cały czas podróży tylko „naciąganiem“ kogo się dało, że zabrane zapasowe koła gumowe sprzedał jeszcze przed wyjazdem z Paryża, że „urządził“ między innymi i konsula holenderskiego w Pekinie itd. — że wreszcie pan ten prawdopodobnie nie ukaże się w Paryżu, bo zosta tam skazany na 18 miesięcy więzienia... za oszustwo. A co — ładny „bohater“ *Kuryera Warszawskiego?*

Ale ów bankiet, wydany przez redakcyę *Kuryera* w Bristolu (najdroższej restauracyi w Warszawie) musi być chyba bajką wobec tego, co o stosunkach warszawskich pisze korespondent *Kuryera Poznańskiego.* Widzi on przerażające pustki w droższych restauracyach. Warszawiacy nie bywają jak dawniej „u Stępka“, nie jeżdżą do Marcelina, bo ich nie stać nawet na kawał zwykłego mięsiwa i trunki kosztowniejsze. „Warszawiak dziś ma zaledwie na szklankę herbaty i talerz mleka“. Tylko mleczarnie pełne, a „te mleczarnie, których jest coraz więcej, to *signum temporis*“. Więc kiedym to czytał, tom uronił łzę jedną, drugą, trzecią i czwartą nad dolą Warszawiaków. Ale kiedy piąta już, już miała spłynąć na moje oblicze, przypomniałem sobie, że i przed trzema i czterema i pięciu laty pełno było mleczarni w Warszawie, a wszystkie były w lecie „jak nabite“. Więc twierdzę, że to *signum temporis* nie udało się korespondentowi *Kuryera Poznańskiego.* Co więcej dodam, że ludzie zamożniejsi zawsze na lato opuszczali Warszawę, a stąd i droższe restauracye były pustawe w czasie „kanikuły“. Więc za czarno patrzy się pan korespondent na warszawskie stosunki, choć nie ulega wątpliwości, że się one grubo pogorszyły. Ale nie tak znowu, aby warszawiak herbatką zastępował mięso, a „trunki“ mlekiem zsiadłem. Tak źle jeszcze nie jest — a dowodem choćby to, że nawet dla obcych awanturników i oszustów takich, jak Godard, ma Warszawa na bankiety ze szampanem...

Ponieważ wypadło mi dziś pisać o samych zabawach i „komedyach“, więc nie mogę pominąć wielkiej zabawy zapowiedzianej na 14 września pod Poznaniem. W dniu tym cesarz Wilhelm na czele swej niezwyciężonej (dopóki jej nie pobiją) armii, będzie zdobywał Poznań. Co prawda raz to już uczynić należało, boć Poznań nie był dotychczas przez Prusaków zdobyty, lecz po prostu (mówiąc właściwą gwarą) buchnięty. A chociaż zdobycz wojenna ma często wiele wspólnego z kradzieżą, to jednak jest jej, według utartego przekonania, szlachetniejszą odmianą. Dodajmy nawiasem, że owo zdobycie Poznania nie obejdzie się bez ciężkich ofiar. Zabawka ta ma kosztować 9 milionów marek — dawniej prawdziwe zdobycie miasta mniej kosztowało. I jeszcze pytanie, czy będzie Poznań zdobyty, bo niewiadomo (mnie przynajmniej) jak tam z góry postanowiono: czy Poznań ma być tak silny, że go nawet sami Prusacy, udający w tym wypadku Rosyan, zdobyć by nie mogli, czy też cesarz Wilhelm ma posiadać takie talenta zdobywcze, że nawet pruskie twierdze nie są zdolne oprzeć się potężne jego oręża. Bo trzeba wiedzieć, że tego rodzaju manewry mają podobieństwo do walki atletów: zwycięsca jest naprzód oznaczony. Wspólność tych komedyi leży i w tem, że tak za tą, jak za tamtą zabawkę — plebs płaci.

Kącik humorystyczny.

Odgadywacz myśli.

W wagonie kolejowym siedzi Dawid Reiser i przedstawia mu się jakiś jegomość.

— Czem pan jesteś? — pyta Dawid.

— Ja jestem odgadywaczem myśli.

— Nu, co to znaczy?

— To znaczy, że ja panu mogę powiedzieć, o czem pan w tej chwili myśli.

— A co to kosztuje?

— Dziesięć reńskich.

— Nu, no to już jestem ciekaw, niech mi pan powie, co ja teraz myślę, a ja panu potem dam 10 reńskich.

— Pan jesteś kupcem i myślisz teraz nad tem, aby zbankrutować i swoim wierzycielom nic nie zapłacić.

— Ma pan 10 reńskich — mówi Dawid.

— Prawda, że odgadłem?

— To nie — mówi Dawid — ale mnie pan poddał doskonały pomysł.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Teatr miejski we Lwowie: Dyrektor Heller w swej kancelaryi.



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.

Teatr miejski we Lwowie: Chór żeński.

Sekretarz teatru
p. M. Sachorowski
w swej kancelaryi.



Aparatem redakcyjnym
fot. W. Lis.



Fot. T. Bahrymowicz, Lwów.

Teatr miejski we Lwowie: Chór męski.

Personal techniczny teatru miejskiego we Lwowie.

Z poza kulis teatru.

Teatr miejski we Lwowie jest pod względem swej organizacyi o tyle niezwykłym, iż jako jedyny w tem mieście musi kultywować wszystkie działy sztuki scenicznej, a więc poważny dramat i lekką komedyę, operę i operetkę. W innych miastach stołecznych każdy z tych działów ma osobny, sobie tylko poświęcony przybytek. Nic dziwnego też, że personal artystyczny teatru lwowskiego musi być ogromnie liczny. Obok artystów pracuje jeszcze w teatrze cały szereg osób, których działalność jednak jest ukrytą poza kulisami, tak iż publiczność niema możności ani na nią patrzeć, ani jej należycie ocenić. Jest to personal administracyjny i techniczny.

Na czele administracyi stoi obecnie p. Edward Webersfeld, z którego osobą łączy się część historyi teatru polskiego w drugiej połowie zeszłego wieku. Wszedłszy w r. 1865 w szeregi dziatwy Melpomeny, wraz z towarzyszami broni z powstania styczniowego Gustawem Fiszerem i Aleksandrem Podwyszyńskim, pracował naprzód na prowincyi, a następnie na scenie lwowskiej, poznańskiej i krakowskiej, poczem założył własną trupę i grywał z nią po miastach Galicyi, Śląska, Poznańskiego i Królestwa Polskiego. W r 1881 powraca znowu na scenę lwowską, po dwu latach rzuca jednak teatr i wstępuje do izby obrachunkowej magistratu we Lwowie. Przeszedłszy po przeszło 20-letniej służbie jako rewident rachunkowy na emeryturę, powrócił znowu do teatru, ale już jako urzędnik i kierownik administracyi, wzbogacony wieloletniem doświadczeniem.

W skład tego działu wchodzą dalej ruchliwy i szybkonogi pomocnik administracyjny i inspektor garderoby, p. Henryk Podhorski, bibliotekarz, sympatyczny staruszek, p. Michał Salamon, dalej kasyerki dzienne pp. Stefcia Duszyńska, Julcia Mazurkiewiczówna i Anna Rybicka. Ponadto należą tu urzędnicy kasy i buchalteryi. Bardzo ważną osobą wreszcie jest w administracyi woźny teatru, p. Jan Pichor, który służąc od bardzo wielu lat w teatrze lwowskim, zna jego wewnętrzne stosunki na wylot.

Równie liczny jest personal techniczny. Zostaje on pod kierunkiem inspektora sceny, p. Stanisława Jasieńskiego. Obok niego pracują tam dekoratorowie, rekwizytor p. I. Stahl, elektrotechnicy, kostyumer p. W. Walenta, fryzyerzy, krawcy, maszyniści i służba techniczna.

Personal artystyczny lwowskiego teatru posiada od szeregu lat własną organizacyę humanitarno-towarzyską, jaką jest „Wzajemna pomoc artystów sceny lwowskiej“. Lokal tego stowarzyszenia mieści się w gmachu teatralnym, jako czytelnia artystów. Jest to obszerna sala na II. piętrze; środek zajmuje długi stół, zarzucony gazetami i czasopismami. Po bokach kilka stolików, przy których członkowie „Wzajemnej pomocy“ grywają w szachy, lub w ulubione domino. Amatorowie domina tworzą jakby osobny klub w łonie „Wzajemnej pomocy“, znany pod nazwą „dominikanów“.

W „Czytelni“ gromadzą się w godzinach wolnych od prób zarówno artyści dramatu, jak opery i operetki. Wesoło tam zawsze i gwarno, bo wesołą i pełną humoru jest ta liczna drużyna artystyczna, mimo iż ciężką, bardzo ciężką jej praca, a droga życia bynajmniej nie zasłana różami. I pod tym względem jednak widocznym jest pewien postęp i zwrot ku lepszemu, dzięki bowiem istnieniu funduszu emerytalnego, mają artyści zabezpieczony chleb na starość. To zabezpieczenie przysługiwało dotąd tylko artystom i członkom orkiestry, obecnie i personal techniczny będzie miał swój fundusz emerytalny, a zawiązkiem jego jest hojny dar dyrektora L. Hellera, który na ten cel ofiarował w ubiegłym miesiącu 10.000 koron.

Tego rodzaju zabezpieczenie przyszłości ludziom, którzy pracują na scenie i dla sceny, jest ze wszech miar wskazane. Pomijając bowiem względy ludzkości, które nie pozwalają dopuszczać do tego, by ludzie ci po kilkudziesięciu latach ciężkiej pracy zostawali na bruku, zważyć należy, że zapewnienie przyszłości jest zachętą i bodźcem do pracy, jest łącznikiem, wiążącym ich z rozwojem i powodzeniem teatru.


Stahl Ignacy, rekwizytor.


Walenta Wacław, kostyumer.


Pichor Jan, woźny kancel.


Rzeszutko Tomasz, fryzyer.


Pichler Józef, elektrotechnik.


Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis Kraków.

Teatr miejski we Lwowie: Personal techniczny i służba.

Poświęcając dzisiejszy numer „Now. illustrowanych“ miejskiemu teatrowi we Lwowie, jako pierwszorzędnej scenie polskiej, zamieszczamy na stronie tytułowej zdjęcie gmachu teatru przy placu Gołuchowskich, oraz gmachów tych teatrów, w których personal lwowski grywał pod dyrekcyą Hellera, zamieszczamy dalej portrety członkow całego personalu oraz szereg zdjęć z wnętrza gmachu.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Teatr miejski we Lwowie: Czytelnia »Wzajemnej pomocy« artystów.

Z lwowskiego bruku.

(Po feryach. — Same normalności. — Sensacyjne malwersacye kolejowe. — Skład personalu teatralnego a czyn p. Hellera. — Cicha sensacya, czyli sprawa między szefem a podwładnym i jego narzeczoną. — Propozycya starego kawalera. — Narzeczona bez miłości. — Odstąpienie narzeczonej. — Co to był za jeden? — Co zostało w tajemnicy?).

Już jesteśmy znowu wszyscy razem i już wrócił znowu normalny tryb życia, normalny wygląd miasta, normalny repertuar teatralny z „Wesołą wdówką“ cztery razy w tygodniu, normalne kradzieże i defraudacye, normalne posiedzenia Rady miejskiej i normalne interpelacye p. Czarneckiego, normalne pojedynki, normalne samobójstwa, normalne oszustwa i sądowe rozprawy, normalne spektakle w tynglach — słowem wszystko, co jest normalne. Sensacyą nie tyle stolicy, co kraju, są olbrzymie malwersacye kolejowe w Stanisławowie i w Kołomyi na kolei lokalnej, których „doniosłość“ na razie jeszcze nie jest dokładnie obliczoną, ale których autorowie są już częścią pod kluczem, częścią w drodze do Ameryki, a częścią w podejrzeniu. Dlatego o nich na razie rozpisywać się nie można i musimy czekać na to, co wykaże śledztwo i co powiedzą psychiatrzy, bo bez wątpienia okaże się, że wszyscy sprawcy byli waryatami.

Pięknym, prawdziwie szlachetnym czynem p. Hellera, było ofiarowanie kwoty 10.000 K. na mający stąd powstać fundusz emerytalny dla służby teatralnej, która dotąd nie miała takiego funduszu i żyła bez jutra. W dzisiejszych czasach ten akt prawdziwej ofiarności zasługuje na szczere uznanie, to też w całem mieście, a nawet w całym kraju wywarł bardzo dobre wrażenie.

Inne sensacye, a między temi sprawa neofitki z Bóbrki, są już znane z dzienników, dlatego ich nie powtarzam.

Ciekawą natomiast, choć cichą, bo nieznaną jeszcze sensacyę, zupełnie autentyczną, mam dziś do zanotowania. Oto żyje tu pewien wyższy urzędnik, do niedawna kawaler, który ożenił się z bardzo piękną panienką, a o tym ożenku opowiadają sobie w kole najbliższych znajomych nowożeńców następujące szczegóły.

Pan X. był starszym i bardzo zamożnym kawalerem i nawet podobno miał już zamiar nie ożenić się nigdy. Niejeden kawaler ma takie postanowienie i niejeden trwa w swojem postanowieniu do końca życia. Częściej jednak zdarza się, że jakieś coś, albo jakaś ktoś zajdzie drogę takiemu uparciuchowi, który wbrew wszystkim dawnym postanowieniom, zapewnieniom i zaklęciom, decyduje się wreszcie przemienić starym zwyczajem ojców kawalerską maszynkę spirytusową na małżeńskie ognisko domowe i włazi równemi nogami pod pantofel.

Tak było z panem X. Ale jemu wlazł w drogę zupełnie oryginalny przypadek. Oto w jego biurze pracował pewien podrzędny funkcyonaryusz, młody chłop, a podobno nie bardzo mądry, którego od czasu do czasu odwiedzała w biurze narzeczona, dwiewczyna skończenie piękna. Szef patrzał każdym razem na dziewczynę i podobała mu się coraz bardziej, naturalnie już z samej powierzchowności, bo z nią nigdy przedtem nie mówił. Bawiła zawsze parę minut, zwyczajnie bowiem przychodziła dopiero wtedy, kiedy już narzeczony miał opuścić biuro. Tak działo się przez przeciąg kilku tygodni. Pewnego poranku szef był w dobrym humorze i choć zazwyczaj małomowny, ot, jak stary kawaler, tym razem był bardzo wymowny i uprzejmy. Wdał się w dłuższą rozmowę ze swoim podwładnym, z której dowiedział się, że nie jest wprawdzie w tej dziewczynie zakochany, ale ożenić się musi, bo już przyrzekł jej rodzicom, którzy są ludźmi biednymi, choć z bardzo dobrej wywodzą się rodziny. Od słowa do słowa stawała się rozmowa coraz bardziej poufałą. Nareszcie zaproponował mu szef krótko:

— Wiesz pan co! Odstąp mi pan swoją narzeczoną. Ale jeszcze jedno: czy ona pana kocha?

— Gdzie tam! Znamy się od dzieciństwa, mieszkamy zawsze razem tj. w tej samej kamienicy i tak poprostu rodzice nasi uchwalili, aby z nas była para, a że my naszych rodziców bardzo szanujemy i nigdy nie próbowaliśmy sprzeciwiać się ich woli, więc na tem stanęło. Poza tem my się nawet nie znosimy, bo jedno drugiemu przejadło się aż potąd.

Tu wskazał ręką, jak daleko przejadło się jedno drugiemu.

— A co do jej moralności? — podchwycił szef.

— Najmoralniejsza dziewczyna pod słońcem.

— Panie.... masz pan tu słowo, że mi się dziewczyna bardzo podoba i gdy będzie moją, nie pożałujesz pan tego w najbliższej przyszłości; tylko dyskrecya.

— Ani mru-mru! — zakonkludował podwładny funkcyonaryusz.

Przed tygodniem odbył się ślub pana X. z panną Y., rodzoną siostrą podwładnego funkcyonaryusza. Pokazało się bowiem, że to nie narzeczona do narzeczonego, ale siostra do brata przychodziła do biura. Dlaczego brechał przed szefem, że to narzeczona i co szef mówił na to, gdy się dowiedział, że to siostra — to jest i zdaje się już zostanie ich tajemnicą tak samo, jak i to, jakie wynagrodzenie dał szef swojemu podwładnemu za tak hojne odstąpienie.... narzeczonej.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

14 Ciąg dalszy

Gdy Rozalia pomodliła się przy zwłokach ojca, Daubrac odwiózł ją i Szaszę do barona. Smutno było, ponuro. Łzy, żałoba, widmo zbrodni i zbrodniarza. Meriadec zatrzymał doktora na obiad, a wyczekiwał malarza, który wczoraj solennie przyrzekł, iż o trzeciej na obiad się zgłosi. Czekano na malarza z godzinę, a gdy nie przychodził, bez niego do stołu zasiadło przyjacielskie grono. Prócz barona, doktora, Rozalii i Szaszy był jeszcze Kosiński. Rozmowa rosyjska z Kosińskim sprawiała Szaszy ogromną przyjemność i działała kojąco na niego.

Nikomu nie wpadło na myśl, że Fabrequette doznał jakiej niemiłej przygody na ulicy Marbeuf, lub może naraził się na jakie niebezpieczeństwo. Żartowano sobie z niego, rozmowa zeszła na weselsze tory, dzięki doktorowi, któremu nie brakło nigdy zapasu humoru i pogodnej myśli.

Saint-Briac wróciwszy z obiadu, położył się na otomanie i rozmyślał o tem, czy też Zweimark opuścił Paryż, czy skojarzenie się z baronem i jego przyjaciółmi nie narazi go na jakie nowe przykrości. Myśl kapitana zwracała się wciąż ku Odecie, przy niej krążyła, od niej oderwać się nie mogła. Lękał się o nią, a sobie czynił najdotkliwsze wyrzuty. Ogarniał go też wstyd, że był niewdzięcznym za braterską przyjaźń.

Znużony myślami zaczął drzemać, gdy do drzwi zadzwoniono. Służący zaanonsował przybycie Malverne'a. Zdziwił się kapitan, bo o tej porze Malverne zwykle z biura wraca wprost do domu na obiad. Wybiegł naprzeciw gościa, cokolwiek niespokojny, ale starał się to pokryć udaną wesołością.

— A, co za niespodzianka! O tej porze nie zwykłeś nikogo odwiedzać — zawołał Saint-Briac.

— Istotnie — rzekł Malverne spokojnie, ale sucho. — Dziś uczyniłem wyjątek.

— Wdzięczny ci jestem niewymownie, że dla mnie poświęciłeś nawyknienia i systematyczny rozkład czasu.

— Miałem do tego powód dość ważny.

— Widzę, że jesteś jakiś nie swój. Czy ci się wydarzyło co nie miłego? A może ta sprawa morderstwa na wieży nastręczyła ci wiele pracy i umęczenia?

— Do tej chwili jeszcze nie. Dopiero pojutrze staną świadkowie i rzecz się rozpocznie na dobre, zwłaszcza że policya nagromadziła kilka ciekawych szczegółów, a między innymi także i ten, że owa dama, z którą byłeś na wieży, jest zupełnie zdrowa.

Saint-Briac drgnął. Malverne spostrzegł to, spojrzał na przyjaciela wzrokiem przeciągłym, rzewnym i rzekł spokojnie:

— Jesteś moim jedynym przyjacielem, którego kocham jak brata, któremu ufam jak bratu, to też przychodzę tu z całem zaufaniem, z wiarą głęboką, że mi powiesz prawdę.

— Ależ oczywiście; czyż możnaby nawet wątpić? — odpowiedział Saint-Briac, wysilając się na to, by ukryć pomięszanie i niepokój.

— Czytaj! — rzekł Malverne i wręczył list przyjacielowi.

Saint-Briac rzucił okiem na pismo. Poznał je; było to pismo Zweimarka. Krew mu się ścięła w żyłach, ale opanował się, i spokojnie powiedział:

— Któż zważa na listy anonimowe? Tylko podli i nikczemni je pisują.

— Mimo tego treść ich może być prawdziwą.

— Chyba nie przypuścisz, że twoja żona...

— Przypomniała sobie dawne uczucia, co?

— Ależ...

— No, mój drogi, sprawę załatwimy prędko. Daj mi na to słowo honoru, że list ten zawiera kłamstwo. Proszę cię, przeczytaj go raz jeszcze, a głośno.

Saint-Briac skamieniał. Zaprzeć, dać fałszywie słowo honoru, nie zdoła, raczej śmierć. Wyznać prawdę, to zgubić Odetę. W kilku sekundach przebył męki straszne. Dla Odety poświęciłby życie, ale honoru poświęcić nie może. Co czynić?

— Czytaj — rzekł Malverne głośno, dobitnie, patrząc bystro na kapitana.

— Zaraz — wyszeptał Saint-Briac.

„Ową damą, która miała schadzkę na wieży Notre-Dame z kapitanem Saint-Briac, jest pańska żona. Zawiadamiając pana o tem, dodaję, że równocześnie doniosłem policyi, iż kapitana Saint-Briaca niesłusznie aresztowano, gdyż towarzyszka jego wycieczki żyje zdrowa i szczęśliwa, przy boku swego oszukiwanego męża“.

— Czekam twojego słowa — odezwał się Malverne z groźną powagą.

Saint-Briac nie odpowiedział, jeno zdjął ze ściany rewolwer i wręczył go przyjacielowi.

— Ukarz mnie, zabij, ale wierzaj, że Odeta niewinna.

— A! więc takim byłeś przyjacielem?!

— Zabij mnie, rzuć mi w oczy pogardę, ale nie gardź żoną. Przysięgam ci, że między nami nie było nic, ponad to, co łączyć może brata ze siostrą. Nawet pocałunkiem usta nasze się nie złączyły.

— Czyż wtedy dopiero jest zdrada małżeńska i zdrada przyjaciela, gdy już nastało upodlenie, wyuzdanie?

Saint-Briac milczał.

— Dziękuję za szczerość, panie Saint-Briac, dziękuję za to, żeś pan zatrzymał bodaj tę część honoru, która ci nie dozwoliła dać fałszywego słowa. Pozwolisz pan panie kapitanie, że nadam tej sprawie niezwykły obrót. Pojedynku teraz domagać się nie mogę, bo obowiązek urzędowy, a więc honorowy, zniewala mnie do ukończenia dochodzeń o morderstwo. Odwlec go muszę i proszę, abyś pan się na to zgodził. Gdy sprawę o morderstwo ukończę i oddam trybunałowi, pozwolę sobie zaprosić pana na wieżę Notre-Dame, dla załatwienia tego, co między nami zaszło.

To rzekłszy, skłonił się Malverne zimno i wyszedł. Saint-Briac popadł w prawdziwą rozpacz.

VII.

Gdy się zawarła zasuwa, Fabrequette popadł w ogromne rozdrażnienie. Bił nogami i pięściami w ściany skrytki; krzyczał, przeklinał, szarpał na sobie odzienie, aż wyczerpany, znużony do upadłego, niemal omdlały, zasnął głęboko. I spał twardo, długo, spokojnie.

Gdy się zbudził, nie wiedział w pierwszej chwili, gdzie jest i co się z nim stało. Ciemno, a więc chyba jeszcze noc, zatem nie ma po co wstawać. Spostrzega, że spał w ubraniu, nie na łóżku. Przypomina mu się wreszcie straszna rzeczywistość. Ale już w rozpacz nie popada. Nasuwało mu się na myśl, że przecież wiedzą przyjaciele o jego wyprawie na ul. Marbeuf, zatem będą go tu szukali. Ba! czy tylko znajdą w tem sowiem gnieździe? Ej, co! raz kozie śmierć, myślał malarz.

Zaczął być głodnym. To mu znowu rozpaczliwe myśli nasunęło. Umrzeć głodową śmiercią, to straszne! Ależ nie podobna, aby się ośmielono popełnić na nim mord taki, w Paryżu, pod bokiem władz najwyższych. Ot, droczą się z nim, chcą na nim wymusić pomoc w pochwyceniu Szaszy. Wreszcie będą musieli go wypuścić. A jeżeli nie wypuszczą? Ej, to przecież i samemu uwolnić się można. Wszakże z poza krat i kamiennych murów dobywają się więźniowie na wolność. A tak, ale nie umorzeni głodem! Zanim głód zajrzy w oczy, trzeba się spieszyć.

Pod natłokiem takich myśli, znowu się uspokoił i zaczął przeszukiwać kieszenie, przypomniawszy sobie, że ma przecież tytoń, zapałki, scyzoryk i rozmaite rupiecie, któremi zwykle wypychał kieszenie. Dobył tytoniu, nałożył fajkę i zapalił ją z fantazyą.

Sprawiło mu to wielką ulgę, wzmogła się energia, a nawet humor zwolna powracał.

— Czy to noc, czy już dzień? Oho! aniołowie święci ustrzegli mnie, żem wczoraj nie zastawił zegarka! Już go chciałem zanieść do lombardu, a poczciwy doktor zaprosił na dobry obiad, dał kilka franków w łapę i obeszło się. Poczciwy doktorku! Oj! żebyś ty wiedział, co się ze mną dzieje!

Potarł zapałkę, popatrzył na zegarek.

— Szósta! A czy popołudnie, czy rano? Hm. Chyba że rano. Wszak z obiadu wyszliśmy po piątej, na Marbeuf przybyłem koło szóstej; więc teraz chyba szósta rano. Spałem sobie z jakie dziesięć godzin. Dobry sen, chociaż bez pościeli. Szósta rano! Jeszcze też nigdy tak wcześnie nie wstałem.

Lekkomyślność opanowała łobuza. Zaczął sobie pogwizdywać wesołą aryjkę.

— Hm! hm! trzeba się też rozpatrzyć w tej bezpłatnej kwaterze.

W rupieciach znalazł kawałek stoczka.

— O! przyjacielu zapomniany, jakżeś miły teraz i przydatny!

Zaświecił stoczek, rozgląda się, oswaja ze światłem, które mu się oślepiającem wydało. Wszędzie pustka, żadnego sprzętu, wilgotne mury. Przypomina sobie, że są przecież drzwi, któremi tu wszedł. Szuka ich, wpatruje się w ściany. Znalazł. Ba! Żelazne, kute grubą blachą. Żadnej klamki w nich, żadnego nie widać zamku. Jakby wmurowana płyta w kamienną ścianę.

— Cyklopy to budowały, czy złodzieje? Pałac to, czy kryminał? Nie lada ślusarz to sporządził; a może kowal? No czy tak, czy owak, kowal zawinił, ślusarza powiesili — toć jeżeli kowal zrobił, ślusarza można pochwalić. Oho! coś tu jest, niby głowa od wielkiego gwoździa. Co ona tu robi? po co ją tu umieszczono? Pomacam. Ehe! rusza się! obraca! Pod nią otworek, jakby do klucza! Pysznie! Ba! a gdzież klucz? Szkoda, żem łotra puszczyka o klucz nie poprosił. A to niegrzeczny gospodarz, że klucza gościowi nie zostawił.

Fabrequette zadumał się nad tą dziurką od klucza. Jakże nie dumać? Możnaby otworzyć, gdyby był klucz. Już jest cień jakiejś nadziei uwolnienia się z tej grobowej ciemnicy. Wszakże zamki wytrychami otwierają, a złodziej prawdziwy, to i z gwoździa wytrych zrobi. Ba! z gwoździa! a gdzież go szukać? Oj źle! Ha! idźmy dalej. Trzeba zwiedzić kwaterę dokładnie.

I puścił się łobuz na oględziny. Obszedł wszystkie ściany dokoła, ale nie dopatrzył niczego, prócz onych drzwi. Teraz zapędził się na środek. Przy płomyczku stoczka zaledwie na dwa kroki widział przed sobą. Chodzi, rozgląda się. Wszędzie posadzka kamienna, dość gładka, chociaż widocznie bardzo stara. Ku samemu środkowi nieco nierówna, cokolwiek wklęsła. Fabrequette spogląda na prawo i na lewo, idzie zwolna, aż tu na prawo dostrzega długą szparę w posadzce; przypatruje się, a to drzwi żelazne w podłodze. Wstąpił na nie, zadudniały. Postąpił dwa kroki i lewą nogą o coś zawadził, aż się potknął i o mało nie wywrócił. Nachyla stoczek, patrzy, a tu pęk kluczy, z których jeden zasadzony w dziurkę owych drzwi, w posadzce tkwiących.

— A to co? Hej! klucze, dalibóg klucze. A co też tam pod temi drzwiami? Może jakie skarby, przez złodziei ukryte? Gdyby też zajrzeć? Jużcić wilków ani tygrysów tam niema, toć mnie nic nie pożre. A może tam jakie szkielety zgładzonych? Może tu przedemną bywali tacy głupcy, jak ja, co się dali wciągnąć w matnię i marnie zginęli, a potem ich tu wtrącono, jak do grobu? To cóż? jeżeli tam są zmarli, to mi nie wyrządzą nic złego. W imię ojca i syna i ducha świętego, amen. Wszelki duch Pana Boga chwali. Spróbować można.

Otwiera, z wysileniem drzwi podnosi i spogląda w dół. Ciemnica bezdenna. Świeci stoczkiem, nie widzi nic, prócz drabinki, po której widocznie do lochu się wchodzi. Z lochu buchło powietrze wilgotne, piwniczne, stęchłe. Cofnął się. Nagle zdało mu się, że słyszy coś niby jęk cichy, niby stękanie, niby ciężki oddech, coś nieokreślonego.

— Duchy! a może sowy? Może szczury? Kto tam? odezwij się. Jeżeli duch zagłodzonego, to dzień dobry biedaku, towarzyszu niedoli. Wkrótce i ja będę takim duchem zagłodzonego; możemy zawczasu zawrzeć znajomość. Co? Ej, nie odpowiada, tylko charczy, czy mruczy.

Z lochu odezwał się głos ludzki.

— Ktoś mówi; wyraźnie mówi. Kto tam? Ba! ledwie go słychać. Głośniej!

Głos ludzki z widocznem wysileniem coś powiedział, ale Fabrequette nie zrozumiał.

— Po jakiemu mówisz i kto jesteś?

— Rosyanin — odezwał się głos z lochu.

— A czy żywy, czy umarły?

— Żywy.

Głos mówił dalej z wysileniem, ale Fabrequette nie wiele zrozumiał z tego, bo zaledwie co dziesiąte słowo było francuskie.

— Idę do ciebie, nieszczęsna maro rosyjska, tylko jak my się rozmówimy?

Fabrequette wszedł ostrożnie na drabinkę, świecił stoczkiem, schodził zwolna, by się rozpatrzeć dokoła, aż stanął na wilgotnej, prawie mokrej podłodze. Był to loch, mający około 3 metrów kwadratowych, niski, sklepiony, istny grobowiec. W kącie leżał związany człowiek siwy, z długą brodą, wybladły, osłabiony.

— Kto jesteś? — zapytał Fabrequette.

— Mikołaj Trofimowicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadka do nagrody

Kwadrat magiczny.

(Ułożył S. Wygrzywalski Kraków.)

Słowa złożone z podanych liter, czytane już to w kierunku poziomym, jużto w pionowym z góry na dół, są te same odpowiednio.

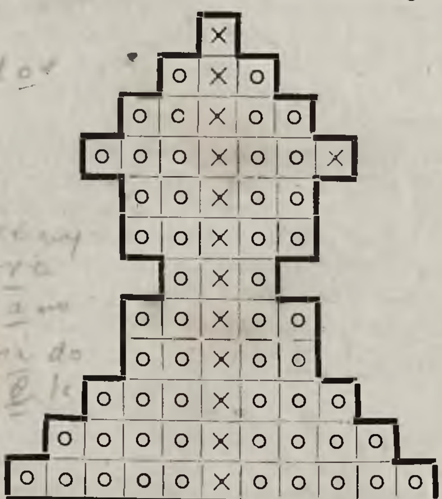
a	a	a	a	a
a	d	d	e	e
k	k	k	ł	n
n	o	r	r	s
t	t	t	t	y

Znaczenie wyrazów: 1. Wyspa na morzu Śródziemnem. 2. Rzeka we Francyi. 3. Inaczej rozkaz lub wyrok. 4. Opłata. 5. Naczynie do płynów.

Kryptogryf.

Ułożył. L. Wygrzywalski Kraków.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery środkowe wstawione w miejsce krzyżyków, a czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko słynnego skrzypka i kompozytora niedawno zmarłego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2 Gęsty las. 3 Ptak. 4. Mityczny lutnista i śpiewak. 5. Napój zdrowotny. 6. Rodzaj utworów poetyckich. 7. Przeciąg czasu. 8. Zwrot muzyczny na oznaczenie gry lekkiej, cichej. 9. Rodzaj większego utworu muzycznego, także popis muzyczny. 10. Imię żeńskie żydowskie. 11. Zwrot muzyczny na oznaczenie gry przez szarpnięcia struny zamiast pociągnięcia smykiem. 12. Duże części świata.

Za dobre rozwiązanie powyższego logogryfu przeznaczamy powieść Gruszeckiego: »Na swobodzie«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 34.

Szarada.

Jeleń.

Arytmogryf

I. Buenos Aires. II. Czerwieniec.

Zagadka.

I. Karnawał — Popielec. II. Kazimierz Gliński — Królewska pleśń.

Logogryf.

Z wielkiej chmury mały deszcz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: F. Niepokój Krosno, M. Opolska Czarny Dunajec, F. Michalski Kraków, Związek akademicki Kraków, K. Fuchs Czeremchów, M. Rożański Linusza.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. F. Michalski Kraków. prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

L. W. w Krakowie. Za przysłanie zagadek dziękujemy. Będziemy korzystali z nich, lecz stopniowo; wszystkie zagadki WPana są jednego typu, nie możemy więc umieścić wszystkich odrazu

Nadesłane.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności

Chromofotoskop. Po dłuższej przerwie, otworzył »Chromofotoskop« swoje podwoje w dawnym lokalu w ulicy Floryańskiej l. 4, parter. Zarząd nawiązał stosunki z pierwszorzędnymi artystycznymi zakładami i będzie w możności wystawiać widoki najnowszych zdjęć z różnych części świata, oddających naturę tak pod względem perspektywy, jak i plastyki, z niezrównaną dokładnością i bez błędów.

Zastosowane achromatyczne szkła francuskie powiększające, zaopatrzone są w przyrząd do przesuwania, stosownie do siły wzroku, wskutek czego widz nie może odczuwać żadnego znużenia oczu. Z dalszych udoskonaleń dodać należy jeszcze zabarwienie artystyczne każdego szczegółu w jego naturalnej barwie. Z prawdziwem zadowoleniem oko widza spoczywa na tych pięknych obrazach, oddających w najdrobniejszych szczegółach z naturalną wiernością wspaniałe widoki przyrody. Chromofotoskop przedstawiać będzie co sobotę coraz inne widoki natury, podróże naukowe, odkrycia i wynalazki, stolice świata, interesujące sceny z dziejów społecznych, muzea i dzieła sztuki, słowem świat i życie w barwnych obrazach plastycznych. Serya od 31-go sierpnia do 6-go września obejmie »**Pałac cesarski w Schönbrunie z olbrzymim parkiem, ogrodem botanicznym oraz zwierzyńcem cesarskim**«.